Nr. 40. Lwów, Niedziela dnia 10. Czerwca 1877 r. Tom V.

# TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK IV.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni Ad. Dygasińskiego.

Redakcya:
Ulica Akademicka l. 8.
Administracya:
Księgarnia Polska l. 12 ul. Kopernika.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.

## ODPARCIE POTWARZY.

Liczna a można niegdyś rodzina doznała przed laty srogiego losu. Żyzna jej gleba nęciła zdawna sąsiadów, bogate chaty obfitą obiecywały zdobycz. Więc zmówili się sąsiedzi, i cały dobytek rodziny tej podzielili między siebie, dawnych jego właścicieli pozostawiając jako służebnych na gruncie niewolników. Żeby zaś utrudnić porozumienie między bracią ku odzyskaniu ojcowizny, wysokiemi murami odgraniczyli wzajemnie swoje nabytki, i postawili u bram tych murów liczne straże, by ani człowiek ani pismo żadne nie postrzeżone i bez pozwolenia, na drugą stronę dostać się nie mogło.

Uciśnieni jednak nie przestali myśleć o odzyskaniu swobody swej i swej ziemi. Znaleźli sposoby do zanoszenia skarg swych przed liczne trybunały, ale sędziowie głusi byli na głos sumienia. Od czasu do czasu zaś zrywali się niewolnicy, ażeby siłą skruszyć nałożone im pęta; lecz wszelkie te porywy przez czas długi były bezowocne. Owszem, po każdym zapędzie takim jeszcze cięższe nakładano kajdany, jeszcze silniej krępowano ich powrozem do roboczej taczki, a ci którzy główny mieli udział w bezskutecznym porywie, byli zmuszeni do opuszczenia ziemi swych ojców, i do boleśnej wśród obcych tułaczki.

I tak stopniowo marniał dawny dobytek owej ziemi. Niewolnemi uprawiona rękami utracała rola swą żyzność. Poczęły się zapadać chaty nie przez właścicieli lecz komorników zamieszkałe. Umilkły gwary warsztatów, z których niegdyś wychodziło wszystko czego mieszkańcom chat tych było potrzeba. Łamał się hart ducha nieszczęśliwych i pamięć dawnej swobody tępiała u przywykających do ciężkiego jarzma; słabły ich umysły, bo nawet nauki im poskąpiono, w obawie, by z niej się nie stało kiedyś narzędzie do rozkucia kajdan....

Ale po jakimś czasie, jeden z nowych panów tej ziemi przejrzał, że gdy dłużej tak potrwa ziemia spustoszeje zupełnie, i żadnego nie da plonu. Zwolnił więc nieco z ucisku. Zdjął kajdany z niewolników, pozwolił chaty naprawiać i oporządzać, i części plonu używać na przywrócenie roli dawnej jej żyzności, i stawiać szkoły dla dziatwy. Nie uczynił niewolników panami, ale przynajmniej dozwolił pracować nad tem, by zupełnemu zapobiedz upadkowi. Mieszkańcy działu tego jęli się pracy, o ile im dozwoliły siły długiem dźwiganiem kajdan złamane, o ile starczyło hartu duszy upadlającą niewolą zwątlonego, o ile starczyło rozumów długiem zaniedbaniem nauki osłabłych. I wysłali wtedy mieszkańcy tego działu do braci będących w tułaczce, wieści o polepszeniu losu swego, pisząc im: powracajcie! czem chata bogata tem rada; potrzeba nam wielu rąk do pracy, więc pracujmy wspólnie.

Tłumnie też zbiegli się tułacze, łzami roszcząc dawno niewidzianą ziemię swych ojców. I który tylko chciał i umiał pracować, znalazł uczciwą pracę, i zamieniał czarny chleb wygnania na utrzymanie skromne, ale wśród swoich. Jedni zasiedli w biurach rad mających stanowić o publicznej rzeczy, inni uczyli młodzież, inni budowali gościńce, inni pracowali na roli i w warsztatach. A dla starców i kaleków dobrzy ludzie składali grosze ażeby ich od nędzy przynajmniej ochronić, i podzielić się z nimi własną biedą. Byli wprawdzie między mieszkańcami tej ziemi wyrodni synowie, którzy o sobie tylko pamiętając zamykali chaty przed tułaczami, i sarkali na to, że się powracającym braciom daje nieraz przed innymi pierwszeństwo; ale ogół nie zważał na to, i po kilku latach już nie setkom lecz tysiącom otworzyła się sposobność pożytecznej pracy. Że jednak ziemia ta była uboga, że dawny dostatek zmarniał, że między powracającymi tułaczami byli i tacy, którzy nie chcieli pracować, i tacy, którzy do żadnej pracy wyższej nie byli zdolni a pospolitych robót chwycić się nie chcieli, przeto zdarzało się, iż niektórzy nie znalazłszy miejsca wśród swoich, powracali znowu na tułaczkę.

Wtedy jeden z dawnych tułaczy a obecnie już na ziemi ojców swych zamieszkały, podniósł krzyk wielki na mieszkańców tego nieco swobodniejszego już działu, i jął miotać zarzutami, że zatracili miłość rodzinną, jął pytać szyderczo: co uczyniliście dla tułaczy? czy pomyśleliście o tem żeby im dać chleba? A z nielicznych przykładów obojętności, rzucił hańbę na cały ogół, zaprzeczył mu nawet prawa używania nazwiska wielkiej a rozdartej rodziny, posiał ziarno niezgody i waśni pomiędzy dawnymi tułaczami i resztą mieszkańców od dłuższego już czasu wspólnie i z zatarciem wszelkich różnic pracującymi. Więc zrobiła się wielka radość na zamkach panów tej ziemi, i powiedzieli sobie: dobrze że niewolnicy nasi w niezgodzie i rozterce ze sobą, bo bezsilni będą gdy co przeciw nam zechcą przedsiębrać.

Cóż ma rodzina uczynić z bratem, który waśń sieje między braćmi? który poniża cały ogół? któremu nie dosyć rozdziałów stworzonych dawnemi klęskami, więc jeszcze nowe czyni rozdziały jednemu pisząc na czole: tutejszy — a drugiemu: wychodźca, i pierwszego wobec drugiego hańbiąc? I jak na głos ten odpowiedzieć? Oto wyrodnemu powiedzieć najprzód że jeżeli brat brata serdecznie w chacie swej przyjmie, to nie ma wprawdzie prawa żądać jakiejś wdzięczności i głośnego uznania, bo tylko obowiązek swój spełnił i potrzebie serca zadość uczynił, ale ma prawo żądać, aby mu po spełnieniu obowiązku tego przynajmniej nie plwano w oczy i nie okrywano go hańbą. I powiedzieć mu dalej, że gdy tego przynajmniej prawa nie szanuje, na ojczystej glebie zasiewa chwasty nowych waśni i rozterek, i rozrywa dłonie splecione w serdecznym uścisku i we wspólnej pracy, to on jest niegodnym wspólnego rodzinnego nazwiska, to on wszelkie prawa w rodzinie utracił. A zaś ci, którzy z tułaczki powróciwszy znaleźli w chatach braci swych uczciwą pracę, powinni podnieść głos protestu i wyrodnemu bratu tak jak niegdyś czyniono, wypisać na czole *potwarca!*

* * *

Takim potwarcą jest *bezimienny* autor fejletonu zamieszczonego w N. 124 i 125 Gazety Narodowej, pod tytułem „O emigracyi i sprawie le-

gionów polskich". Ktoby nie znał stosunków kraju naszego i nie wiedział co się tutaj czyniło i czyni — przeczytawszy fejleton ten mógłby pomyśleć, że w Galicyi nie masz Polaków, a emigrant gdy tu powróci, po lasach chyba błąkać się musi i żywić korzonkami, bo nigdzie przytułku ani poparcia nie znajdzie, tymczasem faktem jest, że chyba z bardzo nielicznemi wyjątkami, wszyscy zresztą wychodźcy, którzy umieli i chcieli pracować, znaleźli tu pracę, że umieszczono ich na różnych posadach przeszło dwa tysiące, i że je żeli była jaka niechęć, to nie w patryotycznej średniej warstwie, ale wyjątkowo pomiędzy tymi, którzy w ogóle dla spraw narodowych są obojętni. A nie zasłużył kraj nasz na to, ażeby winy tych nielicznych wyjątków miały być poczytane całemu ogółowi. Zapewnić możemy, że ogół powróconych do kraju wychodźców z oburzeniem przyjął tę bezimienną potwarz. Autor jej podpisał się *„jeden z emigrantów."* Może być przekonany, że jest on nie tylko jeden ale *jedyny*, który w ten sposób przecząc faktom oczywistym i powszechnie znanym, hańbi własne swe gniazdo. Nigdy zaś i niczem usprawiedliwić się nie zdoła redakcya, która podobnej napaści na kraj zbyt gościnne otworzyła wrota.

---

# SZKLANNY CZŁOWIEK.

*Nowella*

J. Łama i Włodzimierza Zagórskiego.

*(Ciąg dalszy.)*

*Vous vous souvenez mon chèr,* że na owej konferencyi, na której rozstrzygnięto sprawę starowolskiej sukcesyi, zabierała głos także ciocia Pstrzykalska, stawiając skombinowany wniosek, dążący z jednej strony do załatwienia spadkowych pertraktacyi, z drugiej zaś do ożenienia Władysława z córką wnioskodawczyni panną Klementyną Pstrzykalską. Wniosek ten uległ losowi wszelkich skombinowanych wniosków, rozbiwszy się o znaną ofiarność Ratatyńskiego, który rozwiązał kwestyą sukcesyi w sposób już panu wiadomy; pozostawała atoli druga część tej propozycyi, na razie z porządku dziennego strącona i przez panią Ptaszyńskę *en bloc* skrytykowana, lecz ostatecznie jeszcze nie załatwiona. Otóż więc nie należała ciocia Pstrzykalska wcale do osób zrażających się lada niepowodzeniem, była to bowiem kobieta uparta, a programu swego lepiej od niejednego z naszych „mężów opatrzności" świadoma; program zaś jej streszczał się w tem, aby jak najspieszniej za mąż powydawać swe córki, dochodzące własnie do owych latek, które są niejako Rubikonem panien na wydaniu. Po przejściu tego Rubikonu nie ma już rady: *Alea jacta est!* trzeba pożegnać matrymonialne marzenia, wstąpić do Towarzystwa Św. Wincentego à Paulo, i oddać się pobożności.

Atoli, jak to już panu mówiłem, nie było uskutecznienie programu cioci Pstrzykalskiej łatwą rzeczą, panny bowiem nie miały wiele posagu, nadto była panna Ottylia trochę rachityczną, panna Klementyna trochę skrofuliczną, obiedwie zaś siostry nie posiadały onych przymiotów, któreby mogły przynęcić mniej wymagających konkurentów. *Entre nous soit dit* — powiadam to panu w sekrecie, bo Pstrzykalscy są z nami blizko skoligaceni — *entre nous soit dit* istniała pomiędzy obiema siostrami najzabawniejsza rywalizacya, która była ciągłym powodem scen bardzo rozmaitych, a częstokroć nawet skandalicznych. Mianowicie zarzucała panna Ottylia pannie Klementynie, że intrygami swemi odstręczyła od niej Piłowieckiego z Bączyna, podczas gdy panna Klementyna obwiniała pannę Ottylią, że tylko jej knowania stały się powodem dezercyi Leszczewskiego, który u wód według zapewnień tejże panny Ottylii, tyle jej miał okazywać sympatyi, i dopiero przyjechawszy do Lwowa ni ztąd, ni zowąd zaprzestał dalszej konkurencyi.

Niemiłe zajścia te i rekryminacye powtarzały się, ilekroć młodzieniec jaki zbliżył się do którejś z obu sióstr; w ostatnich zaś czasach stał się był Szklanny Człowiek jabłkiem niezgody waśniącem obie rywalki, obiedwie panny bowiem były srodze kochliwe i zarozumiałe, niedostawało zaś jednej właśnie tyle rozsądku i taktu, ile go drugiej brakowało.

Przyjmowany uprzejmie bywał rzeczywiście Władysław niemal codzień w domu cioci Pstrzykalskiej, towarzyszył pannom na przechadzkach, przynosił bukiety i cukierki, obdarzając obiedwie siostry równą miarą kwiatów, słodyczy i grzeczności, nie chodziło mu bowiem o zdobycie serca żadnej z obydwu rywalek, lecz tylko o spotykające go tam owacye, które uważał jako hołd wprawdzie miły, ale przyszłym zasługom jego słusznie należny. *Vous concevez,* że te zupełnie zresztą niewinne attencye Władysława wystarczały aż nadto, ażeby pannom, będącym już *most condition**) a posiadającym wielką ochotę „przejść się za mąż" jak najspieszniej, zawrócić głowy, już i tak niezbyt silne, i rozdmuchać na nowo znaną ich rywalizacyą.

W oczach cioci Pstrzykalskiej stał się był Szklanny człowiek, od czasu jak nań spadła wiadoma sukcesya, partyą dla Klimci lub Ottylci arcypożądaną; jakkolwiek bowiem Władysław, wskutek znanej ofiarności Ratatyńskiego pozbawionym został widoków posiadania tabularnego majątku, i w razie danym mógłby żonie swej ofiarować tylko ową skromną pozycyą, którą w społeczeństwie galicyjskiem zajmują żony dzierżawców, to z drugiej strony wynagradzały ten mankament, jego już w świecie ustalona pozycya, liczne przymioty, tudzież uznanie powszechnie oddawane jego zdolnościom, i przyszłym zasługom. Słowem wyszedł był Szklanny człowiek u cioci Pstrzykalskiej — jak mawiał Ratatyński — „na regardy."

— *Regardez, comme il est bien* — powtarzała ta zacna matrona przy każdej sposobności — *regardez* jaką on sobie w świecie umiał wyrobić pozycyą; *regardez,* jaki on dla nas uprzejmy!...

— Ależ kochana ciociu — pozwalałem sobie z początku reflektować — czyż mógłby być nieuprzejmym?... Przyjmujecie go panie jak udzielnego księcia, prawicie mu grzeczności, zachwycacie się nim!... Nic prostszego że się stara odwzajemnić uprzejmość równą uprzejmością.

— *Mais non mon chèr,* ty nie wiesz — odpowiadała na to ciocia przybierając minę tajemniczą — ty nie wiesz!... Ja ci powiadam, że Władysław bywa u nas nie bez celu...

— Ależ wiem ciociu, wiem!... Oczywiście, że nie bez celu! Władysław jest nieco próżnym, a że go nigdzie nie spotykają tak miłe owacye jak u cioci, więc oczywiście bywa tu częściej niż gdzieindziej...

— Ach jakiż z ciebie sceptyk nieznośny. Przypominasz sobie, jak Władysław zeszłej zimy ostro wystąpił przeciw temu Leszczewskiemu?

— Przypominam.

— A przypominasz sobie, że zmusił potem tego Leszczewskiego do pojedynku?

— Przypominam.

— No i cóż z tego wnosisz?

— Ha nic! Wnoszę że się strzelali, a potem sobie ręce podali, a potem całą sprawę zapili szampanem.

— Ależ nie o to chodzi! Ja się ciebie pytam, co mogło Władysława skłonić do tego, by narażał życie swoje w pojedynku?

— Jakto, co go mogło skłonić?... Strzelał się, dlatego że młody człowiek wchodząc w świat musi się strzelać. *Vous savez, que ça pose bien dans le monde...* w tym świecie, a czasami w tamtym.

— *Allons donc!...* Ja ci powiadam, że powodem, który skłonił Władysława do pojedynku była zazdrość.

— Zazdrość?... Aaaaa! rozumiem, rozumiem! Ciocia więc przypuszcza, że Szklanny człowiek kocha się w Klimci?

— To jest!... może nie w Klimci? może w Ottylii?... a może się jeszcze nie zdecydował? *que sais-je!...* Wszak wiesz moje dziecko, że Władysław jest nadzwyczaj w sobie zamkniętym i nieskorym do powzięcia jakiejś decyzyi.

— A więc: *Entre deux mon coeur balance!* Chachacha! Rozumie się, że to nie z winy Ottylci, ani Klimci, nie wątpię bowiem, że kuzynki, każda z swej strony, robią co tylko mogą, ażeby Szklannego Człowieka odszklannić jak najspiesniej, rozumie się, na korzyść własną.

— *Mauvaise langue! mauvaise langue!* strofowała dobrodusznie ciocia, uśmiechając się znacząco. — *Enfin* kiedy już wiesz jak rzeczy stoją, to zrozumiesz że ja z mej strony kochając Ottylcię i Klimcię jednakowo, i nie chcąc żadnej z nich losu zagradzać, nie mogę Władysława przypierać do muru, ażeby się raz zdecydował na tę, lub na owę stronę. Zmuszona więc jestem zachowywać neutralność, wyczekując dalszych wypadków, *et voilà ce qui m'agace!...*

— Niechże się ciocia tem nie irytuje, boby się musiała zagryźć w końcu z pewnością. Te dalsze wypadki nie nastąpią nigdy.

— Dlaczego?

— Dlatego, że Władysław jest Szklannym człowiekiem, i że się nie odszklanni prędzej, aż straci wszystko co do grosza... *Avez-vous entendu* o tym waryacie, który sobie wyobraził, że ma szklanny brzuch, a którego doktor wyleczył z tej fiksacyi, wsa-

*) Wyraz trenerski oznaczający że koń w trenningu będący jest już zdolnym do biegu.

dziwszy go do dorózki, i wytrząsłszy go po najokropniejszych drogach?

— *Oui, ja'i entendu cela;* ale cóż ztąd?...

— Otoż w ten sam sposób wyleczy się i Władysław ze swej manii... Dotąd było jego życie nadto gładkiem, nadto potoczystem, *du train qu'il mène* jednakże, wjedzie on niebawem na grudę, i to go odszklanni.

— Mów sobie co chcesz mój kochany; ja ci powiadam, że Władysław nie bywał by u nas tak często, gdyby nie miał jakicheś zamiarów. On jest zajęty, i to mocno zajęty!...

— Oczywiście, że pomiędzy dwoma takiemi płomieniami jak Klimcia i Ottylcia, zajęłaby się każda zapałka. *Pensez donc: une allumette entre deux,* a właściwie *entre trois feux,* bo jak widzę, ciocia także kocha się w Szklannym Władysławie. Ale cóż z tego kiedy szkło o ile sobie z fizyki przypominam, nie jest wcale zapalnem; niech ciocia o tem pamięta!...

— Idź ty, ty, ty lamparcie! — strofowała śmiejąc się ciocia *qui aimait le mot pour rire.* — Wszakże znam tego chłopca nie od dziś dopiero, a przypatrując się ciągle jego postępowaniu, mogę o tem sądzić!... Nie wyperswadujesz mi więc tego nigdy, że Władysław, bywając u nas tak często, nie ma żadnej *arrière-pensée serieuse!*

I rzeczywiście, prędzejby ktoś zdołał dziś przekonać redaktorów *Czasu,* że Lwów wcale temu nie winien, jeżeli ludzkość trapią: tyfus, dyfteritis, cholera, podatki, obowiązkowa służba wojenna, ospa, kur, wekslowe długi, lirycy, fortepiany, i inne plagi, aniżeli wyperswadować wówczas cioci Pstrzykalskiej, że Władysław nie żywi matrymonialnych zamiarów względem Klimci lub Ottylci. Nie mogąc się atoli zoryentować, ku której z nich bardziej się zwracają domniemane afekta naszego bohatera, a nie chcąc, jak pan już wiesz interweniować w sercowych sprawach swoich córek, ograniczała się ciocia na wyczekiwaniu „dalszych wypadków", i studyowaniu sytuacyi, przeprowadzając z córkami swemi po każdej dłuższej wizycie Władysława, po każdej przechadzce w jego towarzystwie odbytej, formalną ankietę dla sprawdzenia postępów tego nigdy nie postępującego romansu. Indagacye te przeprowadzała ciocia z każdą z panien z osobna, ażeby uniknąć powodu do gwałtownych scen, i nie rozdmuchiwać nienawiści obiedwie siostry rozdzielającej, co się jej jednak nie udawało.

— Cóż Klimciu? — pytała ciocia dyplomatycznie swoję Benjaminkę. — oświadczył ci się Władysław?...

— Nie mamciu! — odpowiadała panna Klementyna zgryźliwie. Jakże mi się miał oświadczyć, kiedy ta nieznośna Ottylia..

— Ależ moje dziecko, nie godzi się, nie godzi!... *C'est un péché* tak się na siostrę zacinać.

— Na siostrę!... Mama się zawsze za nią ujmuje, bo mama nie wie, jaka to intrygantka! Pan Władysław byłby mi się z pewnością dziś oświadczył, gdyby nie ta Ottylia...

— Unosisz się moje dziecko, unosisz, *et c'est très mal,* zaręczam ci, *que c'est très mal!* — uspakajała ciocia. — Ottylcia temu niewinna, wiesz przecie, że Władysław jest taki niezdecydowany.

— Niezdecydowany? Powiadam mamie że p. Podborski był dziś już na dobrej drodze, ale...

— No, jakżeż to było mój aniołku, powiedz, powiedz — przerywała skwapliwie ciocia, przeczuwając nowe rekryminacye.

— Jak było?... Oto, proszę mamci byliśmy chwilę *en tête a tête,* bo mamcia rozmawiała z księdzem kanonikiem, a Ottylia wyszła była przygotować do herbaty. Pan Władysław korzystając z tej sposobności, oświadczył mi..

— Co, co? oświadczył?...

— Tak jest! Oświadczył mi, że nadewszystko lubi kolor niebieski (Panna Klementyna miała niebieskie oczy) gdy wtem wpada Ottylia, i mizdrząc się, tak jak to ona umie, przerywa naszę rozmowę, zapytując p. Władysława, czy lubi smarzone wiśnie? (Fabrykacya konfitur i pasztecików z kapustą była specyalnością panny Ottylii).

— Ależ moje dziecko, to że ci Władysław, powiedział, że lubi kolor niebieski, nie jest jeszcze deklaracyą...

— Tak, zapewne! Ale jego westchnienia, ale spojrzenie, które mi rzucił gdy to mówił? Mamcia wie przecie, jakie on ma wyraziste oczy...

— Niezawodnie! To była aluzya do twoich oczek.

— Z pewnością!... Ani wątpię, że miał już deklaracyę *sur le bout des lèvres,* ale ta Ottylia, to czarna gwiazda mojego żywota!...

„Czarna gwiazda mojego żywota" była ulubioną lokucyą panny Klementyny, ilekroć mówiła o swojej siostrze.

Podobny rezultat przynosiła zazwyczaj indagacya panny Ottylii, z tą tylko rożnicą, że się pokazywało, iż Szklanny człowiek właściwie nadewszystko lubi paszteciki z kapustą, i byłby z tego powodu przy zdarzającej się właśnie sposobności, niezawodnie złożył serce swoje u stóp panny Ottylii, gdyby panna Klementyna, nadszedłszy całkiem nie w porę, nie była go zbiła z konceptu, zapytując go zalotnie, czy też już znalazł rym na „świerszcz", bo trzeba panu wiedzieć, że jednozgłoskowy poemat naszego bohatera zatrzymał się był na wierszu:

„Gra wśród pól świerszcz"

do którego żadnym sposobem nie można było dorobić odpowiedniego distychu.

*Vous concevez mon chèr,* że przy takiem usposobieniu umysłów, wzrastać musiała z dniem każdym animozya obiedwie siostry rozdzielająca, zwłaszcza że się Władysław nie oświadczał ani na temat niebieski, ani na kapuściany, obdarowując jak przedtem obiedwie rywalki równą miarą kwiatów, słodyczy i grzeczności. Niebawem też, gdy już namiętności doszły były do kulminacyjnego punktu, nastąpił wybuch, którego ostateczną przyczyrą był spór o posiadanie ogromnego bukietu, nadesłanego przez Władysława obudwu siostrom w prezencie. Każda z panien chciała umieścić dar ten w swoim pokoiku, przypisując wyłącznie sobie atencyą naszego bohatera, a że nie było w domu cioci Pstrzykalskiej Salomona, któryby tę sprawę rozsądził, więc przyszło do ostrych słówek, do swarów, do płaczu a nakoniec... no nakoniec, *il faut bien, que je vous le dise,* do czynu! Panna Klementyna, która była z natury wielce popędliwą, rzuciła pannie Ottylii w twarz onym spornym bukietem, ważącym przynajmniej półtrzecia funta, i trafiła nim siostrę swą tak nieszczęśliwie, że prawe oko panny Otylii, jakkolwiek nie doznało wielkiego szwanku, zachowało jednakże niedające się niczem zaprzeczyć ślady odbytej kampanii.

Zrozumiesz pan, że z okiem *au beurre noir* nie mogła panna Otylia pozostać we Lwowie, gdzie wzajemna niechęć sióstr obojga była powszechnie znaną, i trudnoby było ukryć skandaliczną tajemnicę. Cała nasza rodzina zmartwiła się ogromnie tym niemiłym wypadkiem, zajścia tego rodzaju były bowiem wówczas pomiędzy paniami „z towarzystwa" jeszcze niesłychaną rzeczą; dziś niktby sobie już tem głowy tak dalece nie suszył. Korzystając tedy ze zdarzającej się właśnie sposobności, wyjechała panna Ottylia ze swą bratową panią Tymoleonową na wieś, aby tam przepędzic czas swej rekonwalescencyi, we Lwowie zaś pozostała tylko ciocia Pstrzykalska wraz z panną Klementyną, chorą również z powodu dopiero co opisanego zajścia, na ból gardła.

Nie wiedząc o niczem, pojawił się Szklanny człowiek nazajutrz po tej awanturze, a w dwie godziny po wyjeździe panny Ottylii w domu cioci Pstrzykalskiej z zwykłym swoim uśmiechem i dwoma paczkami karmelków. Ciocia przyjęła go z zwykłą swą uprzejmością, i opowiedziała mu jednę awanturę arabską, na temat nagłego wyjazdu Ottylci, drugą zaś na temat bolu gardła tej biednej Klimci, której doktor kazał nie opuszczać łóżka przynajmniej przez dni trzy, i która niezawodnie będzie bardzo żałować, że ją słabość pozbawiła tej przyjemności, itd. itd. Władysław zapewnił ciocię z swej strony o wielkiej przykrości, której doznaje z powodu iż nie może złożyć swego uszanowania żadnej z panienek, i nie zaniedbał zapytać się o bliższe szczegóły słabości panny Klementyny, ani też wywiedzieć się, jak długo myśli na wsi zabawić panna Ottylia. Po wyczerpaniu całego swego podręcznego zasobu uprzejmości i współczucia, zabierał się nasz bohater już do wyjścia, gdy wtem przyszło cioci na myśl, że wyjazd Ottylli, słabość Klimci i wizyta Władysława tworzą sytuacyą, mogącą stać się zarodkiem jednego z tych „dalszych wypadków" na które z taką niecierpliwością czekało jej macierzyńskie serce. Zmieniając więc nagle taktykę oświadczyła ciocia swojemu gościowi, iż pójdzie zaanonsować wizytę jego „tej biednej Klimci, która się tam niezawodnie nudzić musi na zabój w swojem łóżeczku".

— *Car* — dodała ciocia uprzejmie — nie potrzebujemy się przecież z panem żenować! *Ne sommes-nous pas bons amis?* Wszakżeście się prawie razem wychowali, a pana Władysława znałam przecież jeszcze, ot takim chłopaczkiem.

Szklanny Człowiek przyjął tę propozycyą oczywiście z najwyższą wdzięcznością, i znalazł się po kilku minutach w sypialnym

pokoiku panny Klementyny, która, nawiasem mówiąc trocha zarumieniona w białym batystowym negliżyku, *et nonchalamment couchée* na łożu boleści, wyglądała dosyć interesująco.

Nastąpiła więc zwykła wymiana grzeczności i meteorologicznych spostrzeżeń, gdy wtem odwołano ciocię do salonu, gdzie na nią czekał adwokat w pilnym jakimś interesie Widząc to chciał już Władysław pożegnać chorą panienkę, lecz ciocia, rada wielce że się nakoniec zdarzył jeden z tak długo oczekiwanych „dalszych wypadków“ zapewniła go, że się spieszyć wcale nie potrzebuje. I takim to sposobem został nasz bohater, sam na sam, z panną Klementyną, w pośród dziewiczych murów jej sypialnego pokoju. (C. d. n.)

---

# O ARCHITEKTURZE

ODCZYT

PROF. JULIANA ZACHARIEWICZA.

Budownictwo i architektura są tak ściśle połączone z codziennemi wymaganiami naszego życia, że znawstwo tej sztuki powinnoby się wydawać najnaturalniejsze.

Atoli w rzeczywistości tak nie jest.

Niedostateczne uwzględnienie stosunku architektury do naszego życia, nieznajomość podstaw, zapoznanie znaczenia jej wpływu, zaniedbanie teraźniejsze tej sztuki w naszej prowincyi, są zapewne powodem tego zjawiska, iż jedna z najstarszych sztuk pięknych jest u nas najmniej popularną.

Obrałem sobie dlatego zadanie mówić dzisiaj, o ile mi czas na to pozwoli, o stosunku społeczeństwa do tej sztuki. O jej rozwoju i o podstawach tego rozwoju.

Człowiek walczący z przyrodą buduje sobie schronienie od wrogich mu wpływów natury. W budowie tej, stara się zadosyć uczynić pierwszym wymaganiom potrzeb powszednich, dochodzi do pewnej rutyny, udoskonala sposob uzycia materyałów do takiej budowy, która atoli nie jest jeszcze przedmiotem sztuki a zatem nie będzie stanowiła podstawy naszej pogadanki. Również rozpatrywać się nie będziemy w sposobach budowania — zamierzamy mówić tylko o sztuce w budownictwie, to jest o architekturze.

Sztuka w budownictwie zaczyna się od *tej* chwili, kiedy przez układ pojedyńczych części w *całość*, albo przez *sposób* zdobienia jej, stara się człowiek oznaczyć *cel* lub *znaczenie* tego utworu.

Kiedy *przez takie zewnętrzne* ozdoby *lub układ symboliczny*, na nasze zmysły działając, przez umysł naszę fantazyą pobudza i *pewne wrażenie* na nasze uczucie sprawia. Wtedy otrzymuje *taki* z potrzeby wynikający utwor, niejako swoje namaszczenie, staje się przedmiotem sztuki.

Doznajemy przeto przez oglądanie tego architektonicznego utworu, za pośrednictwem naszych zmysłów wrażenia *takiego samego*, jakie sprawiają, lub sprawiać mogą, utwory *innych sztuk pięknych*; to jest, oddziaływa na nasze zmysły i uczucie, *pobudzając naszę fantazyą*.

Wyrzecby zatem można, że sztuka jest tylko jedną i jedyną, a objaw tego ducha ludzkości i czasu, który się w sztukach pięknych maluje, przedstawia się nam w różnych sztukach, tylko różnymi środkami.

Każda ze sztuk pięknych posiada odmienne środki do wyrażenia myśli, a granice jej dziedziny, *są właśnie określone* przez naturę tych środków.

Jedne z nich, jak malarstwo i rzeźbiarstwo, naśladują przedmioty w naturze się znajdujące i działają na nasz umysł i uczucie przez stosowne z góry obmyślane zestawienie tych odtworzonych, w naturze się znajdujących przedmiotów.

Drugie, jak muzyka i architektura, posługują się przedmiotami natury do układu utworów *swojej* fantazyi, *nie znajdujących* pierwowzoru w naturze.

Architektura układa je na *pewnych* zasadach *z całą świadomością* do osiągnięcia swego celu.

Zrozumienie przedmiotu architektonicznego jest zatem zawisłe od znajomości warunków, *zasad* i *podstaw* jego istnienia, *to jest*, od znajomości *stylu*.

Przypatrzmy się *w jaki* sposób w utworze architektonicznym styl się objawia.

Przeznaczenie utworu, odpowiadającego *potrzebie*, jest uświęcone przez tradycyą i zwyczaj.

W znajomości materyału i jego użycia, przedstawia się nam znajomość sił przyrody; a pojęcie piękna, jest obrazem idei ducha ludzkiego.

Utwor architektoniczny musi przeto odpowiadać wymaganiom przez potrzebę dyktowanym; ma zadosyć uczynić wyższym poglądom, tak zwanym estetycznym; a w uwzględnieniu materyału, z którego się składa, ma jeszcze służyć jako wyraz idei ducha ludzkiego i odpowiadać tegoczesnemu pojęciu piękna.

Jeżeli *tym* wymaganiom odpowiada, wtedy mówimy, że jest *w stylu* wykonany.

Stylem architektonicznym nazywamy przeto: *ten harmonijny układ* utworu, który odpowiada wymaganiom przeznaczenia swego i zwyczaju, uwzględnia materyał i odpowiada tegoczesnemu pojęciu piękna.

W rozwoju stylów architektonicznych niezaprzeczenie jest *wola*, objaw siły ducha ludzkiego najważniejszym czynnikiem.

Dla wyjaśnienia tego twierdzenia przypatrzmy się, jakim zadaniom architektura ma odpowiadać i w jaki sposób z tego w różnych epokach się wywiązuje.

Jej zadanie jest zawsze jedno i to samo — czy oltarz ofiarny budują Druidowie z eratycznych głazów w symbolicznym układzie, pośród cienistych drzew odwiecznych lasów; czy też Grecy stawiają przybytek dla posągu swego Boga, tę świątynię wynosząc po nad poziom otoczenia jako ofiarę Bogom poświęconą; czy budują dom rodzinie poświęcony, oddając go opiece swoich larów; czy wreszcie ustawić mamy oltarz w świątyni chrześciańskiej, zawsze chodzi tu głównie tylko o założenie i wybudowanie obszaru do ustawienia tego ogniska które jest symbolem przeznaczenia budowy, *jej oltarzem*.

*Sposób* wywiązania się z tego zadania, cechuje właśnie *styl*, bo jest odzwierciedleniem ducha ludzkiego, jest wynikiem jego woli, jego potęgi, określającej tak jego *ideę*, jak i jego *siłę* fizyczną w użyciu materyałów.

Inaczej przedstawia się nam dom rodzinny Pelazgów z czasów Iliady, *inaczej* z czasów Cezarów rzymskich, inaczej z epoki średniowiecznej. A jakiż odstęp w pojęciu potrzeb i w wykonaniu, dzieli *te* budowle od pałaców złotej epoki renesansu lub teraźniejszych.

Jaki odstęp jest między Bazyliką z czasów Konstantego Wielkiego, a tumem gotyckim, lub wspaniałem godłem potęgi hierarchii katolickiej w kościele św. Piotra w Rzymie!

Zawsze jedno i to samo zadanie, a w jak odmienny sposób temu zadosyćuczyniono!

Jakie przejście w pojęciu wymagań — jakie przekształcenie idei założenia i wykonania — jaki rozwój ducha ludzkości się w tém przebija!

Widzimy, *że inteligencyą ducha* ludzkości, *śledzić możemy* w utworach architektonicznych.

Ta wola, ten duch ludzkości przedstawia, się w nich albo jako wynik *wyobraźni, pojęcia i woli wspólnej* całych narodów, pojedynczych kast, lub osobistości.

W miarę tego, która z nich w społeczeństwie przeważała, w miarę *tej przewagi*, styl architektoniczny był albo wyrazem pojęcia całych narodów, albo *był* wyrazem organizacyi pewnych kast, lub daje nam poznać obraz panującej twórczej idei każdego czasu.

W egipskich i w azyatyckich stylach przedstawia się nam sztuka, jako wyobrażenie i symbol możnowładców i hierarchii, którzy społeczeństwem owładnęli. Lecz pomijamy je dzisiaj i zaczynamy od stylu Greków.

W stylu *greckim* dopiero, w świątyni greckiej wyraża się idea narodu wolnego. W tej świątyni, widzimy ideał doskonałości w architekturze, chociaż jeszcze nie jest ona jej celu urzeczywistnieniem. (C. d n.)

---

# POWSTANIE POLSKIE
nad
## BAJKAŁEM.

*Z pamiętników naocznego świadka Z. O.*

*(Ciąg dalszy.)*

Załatwiwszy się tak z jedną osadą spieszy do innych bałaganów, powtarzając wszędzie toż samo i zostawiając we krwi własnej nurzających się, pokłutych więźniów. Jak rozżarta hyena wpada nareszcie do szpitala, w którym leżało kilkunastu chorych a krzycząc na kozaków „bij, kłój“ zabija własną ręką jednego z chorych, a dwóch innych rani śmiertelnie.

Kozacy nie dali się nigdzie wyprzedzić swemu walecznemu wodzowi; nadziewając na bagnety chorych wyrzucali ich z legowisk a bijąc najzapalczywiej pletniami i kolbami przepędzali przez szeregi sołdatów. Spędzonych razem więźniów, odarto z okrycia i obuwia poczem zabrano im jeszcze ostatki pożywienia, mianowicie: cukier, herbatę i suchary, któremi uraczyło się żołdactwo po ciężkiej pracy.

Major Lisowski uporządkował zdobycz, ułożył jeden stos z cukru a drugi z herbaty, kazał przynieść ogromny kocioł żołnierski napełniony wodą i wrzuciwszy w nią nagromadzony cukier i herbatę wlawszy kilka garncy wódki, którą Moskale mieli w zapasie, rozebrał się do koszuli wraz z innemi oficerami i przy dymiącym kotle, z którego ulatywała miła woń wódki i herbaty rozpoczeli tany, wychylając do dna blaszanki wojskowe, któremi czerpali czaj kipiący.

Pijana ta zgraja, trzymająca w jednej ręce baty kozackie, w drugiej naczynie z czajem, wyskakiwała w dzikich zwrotach „kozaka z prysiudami“ śpiewając przytem najwszeteczniejsze piosnki ochrypłemi gardłami i powtarzając chórem „dla Palakow, niet paszczady!“ Bankiet trwał przez całą noc aż do rana. Więźniowie tymczasem poranieni, chorzy, powiązani, otoczeni

buryatami i kozactwem, odarci ze wszystkiego równie jak i miejscowi żołnierze do drzew poprzywiązywani wyczekiwali w milczeniu ostatecznego końca.

Z nadeszłym dnia rozświtem major Lisowski zbierać się nakazał do pochodu; pozostałe rzeczy i drobiazgi więźniów powkładano do pak rządowych, pieczęcią carską opieczętowano i upakowano w przywiezione kibitki.*)

Zanim jednakże z miejsca ruszono, przypomniał sobie Lisowski o przywiązanych do drzew sołdatach, a rozważywszy po ochłodnięciu z animuszu wojnnnego, że strzelając najniewinniej swoich, mógłby stracić zebrane łatwo wawrzyny i zostać do odpowiedzialności pociągniętym, zaniechał postanowienia i odwiązawszy pokostniałych i z przestrachu prawie na wpół żywych Moskali wcielił ich do swego oddziału.

Tymczasem Szac straciwszy swego towarzysza brodiagę, który do niego więcej nie powrócił, z mozołem przedostał się do Lisowskiego a właśnie w chwili gdy ten z kozakami już wyruszał. Pozostał więc przy jego oddziale towarzysząc mu odtąd do końca.

Prawie tuż pod Murymem spotkali nadciągający oddział majora Ricka, przy którym znajdował się Czerniajew, zabrany przez niego w czasie przemarszu ze stacyi Miszyszyńskiej. Obydwa te oddziały złączone, niemając po co dążyć do Kułkuku pomaszerowały do Pussolska, jako do głównego punktu przeznaczonego na zbiór połapanych więźniów.

Transporty więźniów do Irkucka, odbywały się codziennie. Pomimo, że widok obdartych i pokaleczonych powstańców nawet najmniej ludzkiego człowieka mógł przerazić i litość wzbudzić, zajadłość pospólstwa, w miejscach przez które ich prowadzono, była tak wielką, że kozacy chronić musieli więźniów od rozjątrzenia tego poczciwego moskiewskiego ludu; z czem mogli występywali mieszkańcy aby choć kijem uderzyć słabo trzymającego się na nogach jeńca a kamienie co chwila dolatywały do nich wśród złorzeczeń.

Przyjęcie więźniów w Irkucku, podobnej było natury.

Mieszkańcy tego miasta od pierwszej wieści z za Bajkału o powstaniu Polaków, żyli ciągle pod naciskiem panicznego strachu, który obecnie przerodził się w zwierzęcą chęć zemsty. Na zwiększenie tego przerażenia wpłynęło i to, że podówczas znajdowało się w Irkucku 300 Polaków swobodnie w mieście mieszkających, których część miała tam stale pozostać, część zaś po jakimś czasie wyjść na osiedlenie do wołości okolicznych. Wskutek tego zaprowadzono natychmiast stan oblężenia a nie wiedząc czy przypadkiem do tego ruchu nie należą malkotenci Moskiewscy na wzór nihilistów, rozciągnęły władze moskiewskie stan oblężenia i do najlojalniejszych Moskali*) Zamknięto zupełnie miasto, wypuszczając i wpuszczając do niego tylko tych, którzy z policyi otrzymali odpowiednie karty; odbierano broń a ogólny płacz i jęk mieszkańców, był tak straszliwy, jakby to wszystko za krótką chwilę pod ziemię zapaść się miało. Burmistrz Irkucka Kałaszewcow milioner sybirski wraz z innymi podobnymi krezusami błagał gubernatora wojennego jenerała Szałasnikowa aby bez wyjątku wszystkich Polaków zamieszkałych w Irkucku poaresztował i w więzieniach osadził i zagroził nawet jenerałowi Szałasnikowi pamiętnym zwrotem „jesli Palaki astanutsa w Irkuckie to gołowy nasze, wy gubernator ważmiotie na waszu gołowu“. Gubernatorowie (do tego należał i gubernator cywilny Ern) zapewnili, że do czasu, dopokąd się niezdecyduje powstanie Polaków, dopotąd potrzeba nie drażnić ich nie wiedząc gdzie są strasznicjsi; pomimo tego policya zaraz ze 150 zamknęła do tiurmy a na drugi dzień cichaczem rozwiozła pomiędzy mużyków moskiewskich dając im nakaz najsurowszego nadzoru. Chwila zanim rzeczywiście Moskale powrócili z za Bajkału zwycięzcami, była dla Polaków tak w mieście jak i po włościach straszliwie przykrą. Jedni tylko właściciele Tatarzy lub Buryaci okazali się więcej ludzkimi dla Polaków. Nędzną chatę zamieszkałą przez polskiego posieleńca otaczało chłopstwo zbrojne przez noc a w dzień straż niepozwalała ani na krok oddalić się od sadyby. Pożywienia nie można było ani uzyskać, ani też na nie zarobić, słowem Moskale robili wszystko aby Polaków tanim kosztem wygubić. W jeneralnym sztabie, którego naczelnikiem był jenerał Kukiel*) panował nadzwyczajny ruch i czynność. Rozsyłano manifesta, wzywające do opołczenia, czyli pospolitego ruszenia, wojska zciągniono z różnych punktów. Tak zwani czynownicy do *asobych poruczenij*, oficerowie jeneralnego sztabu odkomenderowani jako feldjegry, kibitkami spieszyli za Bajkał. Wysłano także wozy naładowane łańcuchami i kajdanami.

Gdy już nareszcie sprawa, a jak Moskale ją nazywali „wojna z Polakami“ ukończoną została i Moskale opamiętali się w bojaźni, wówczas smutek i strach zamienił się w szaloną radość! Kozaków wracających przyjmowano jak bohaterów.

Pod Miszyszychą zabitego Porochowa**) przywieziono tryumfalnie do Irkucka, zwłoki jego wystawiono na widok publiczny dla większego podrażnienia ludności, a tłumy chcąc oddać mu cześć od rana do późnej nocy przeciągały ulice w stronie domu w którym leżał przepołowiony bohater, otoczony oficerską strażą w żałobie.

Po parudniowej wystawie ciała Porochowa, całe miasto wyruszyło na wspaniały pogrzeb *pakojnika*, a gdy na cmentarzu złożono trumnę, wystąpił z pośrodka tłumów publicysta moskiewski Milutin,***) i przemówił do zgromadzonych w te słowa:

„Rossyanie! odprowadziliśmy tu zwłoki bohatera, który poległ w obronie wiary i całości wielkiej zjczyzny naszej. Ręka polskich buntowników, która już tyle krwi wytoczyła z piersi naszych braci nad Wisłą i tutaj zapragnęła jeszcze ofiar! Lecz Bóg jest wielki a bunt zaledwie podniesiony wnet stłumionym został odwagą takich żołnierzy, jak ten, którego w tej chwili żegnamy na zawsze! Dzisiaj Irkuck niech się podwójnie nazwie szczęśliwym, raz, że przyszła dlań chwila w której ofiarami mógł dowieść jak bronić umie całości ojczyzny, i okazać swą wierność carowi, powtóre, że ziemia tutejsza, zyskała na świętości przyjmując do łona swego relikwijne zwłoki Porochowa. Tutaj to wy matki rosyjskie prowadźcie dzieci swoje, aby na grobie świeżym bohatera namaścić je na prawych obywateli naszego wielkiego *atieczestwa*, tutaj nauczcie ich jak się umiera za wiarę, kraj, i za cara“ etc. etc. etc. Pogrzeb Porochowa, chociaż użyto wszelkich sprężyn podjudzających lud moskiewski przeciw Polakom, nie wywołał jednakże innych excessów. Wrażenia zaczynały się powolnie zacierać, nawet w gminie, a wszelkie najfałszywsze rozsiewane pogłoski pomiędzy pospólstwem, widocznie traciły na znaczeniu. Postępek Polaków z Szacem i Czerniajewem, których powstańcy mogli byli dziesięć razy poćwiertować jako głównych prześladowców swoich był zanadto wymownym czynem szlachetności polskiej, jasno przekonywającym, że nawet w najwyższej rozpaczy była daleką od więźniów chęć zemsty i że nie ona to ruchem ich kierowała. (C. d. n.)

---

*) Choć rozbój dokonany został na biednych niewolnikach, kozactwo nieprzepuściło i tej sposobności aby kraść zapamiętale, co tylko się dało. Paki z rzeczami więźniów popieczętowane rządowemi pieczęciami, sołdaci rozbili w ten sposób, że poodrywali dna nie naruszając pieczęci a wykrazłszy z nich bieliznę, buty, odzienie, słowem wszystko to co mogło im się na co przydać, wypróżnione ponapychali śmieciami, zabili dna napowrót i tak oddali je na statki do dalszego transportu. Po przybyciu do Irkucka, więźniowie prosili o dozwolenie im wzięcia swych rzeczy. Wydano im paki poznaczone, ale oczywiście bez rzeczy. Najwięcej na tem ucierpiał jeden z więźniów naturalista chemik M. Hartung. Dostał on od Gubernatora Erna jeszcze przed wyjściem za Bajkał *carte-blanche* do wycieczek w góry i okolice w celach naukowych a to z powodu odznaczenia się swemi pracami i ofiarami wielu bogatych zbiorów owadów syberyjskich dla Towarzystwa Geograficznego w Irkucku; miał on ze sobą wiele kosztownych dzieł, atlasów, całe laboratoryum chemiczne, instrumenta anatomiczne i t. d. Gdy to wszystko zobaczyła kozaczyzna rzucili się na zbiory z małym wyjątkiem instrumentów, które mogły być sprzedane i które dla siebie zabrali, resztę wrzucili do Bajkału, nie szczędząc przytem sporej ilości nahajek uczonemu właścicielowi. Sprawę złodziejstwa tego, więźniowie podnieśli w śledczej komisyi; wyznaczono do tego iuną odrębną komisyą ale naturalnie dla oka tylko a Lisowskoj tymczasem odebrawszy ustną pochwałę od jen. gub. Korsakowa został nadto przedstawiony do krzyża *za waleczność!*

*) Podówczas odkryto między Moskalami zamieszkującymi omską Gubernią rodzaj spisku nazwanego *Omskim*. Dokładnie nie była nam Polakom znaną doniosłość tego spisku powstałego o parę tysięcy wiorst bliżej granic Europejskich. Z faktów jednakże, zdaje się, że należeli do niego ludzie zwani *Wolnodumcami;* wielu z nich uwięziono ale sprawa ta nie była ówcześnie skończoną. Ponieważ zaś współcześnie i ruch za Bajkałem nastąpił, rząd był pewnym, że on ma związek z moskiewską agitacyą.

*) Jenerał Kukiel, Polak, miał brata ciotecznego Olszewskiego w katordze, pomimo takiego stanowiska, nie wahał się przyjmować ostatniego u siebie jak brata. Była to osobistość w całem słowa znaczeniu szlachetna. Szlify moskiewskie nie spodliły go.

**) Porucznik inżynierów Porochow, oficer jeneralnego sztabu był ulubieńcem pań z powodu powabnej powierzchowności; zginął pod Miszyszychą wskutek swej odwagi i zbytecznego animuszu. Ciało jego wywieziono później do Petersburga na żądanie matki i zaprzyzwoleniem cara. Zanim wybuchł ruch zabajkalski miał miejsce zamach w Petersburgu na życie cara, otóż wskutek szczęśliwego ocalenia życia drogocennego monarchy mieszkańcy Irkuccy złożyli w samem mieście (28.000 miesz.) 50.000 rubli na wystawienie monumentalnej kaplicy, odpowiedniej okazałością, wielkości wydarzenia. Ogłoszono konkurs na plan a pomiędzy inżynierami i architektami, do których i Polacy więźniowie przypuszczeni byli, stanął także i Porochow do konkurencyi. Gdy plan jego prawie był na ukończeniu, otrzymuje rozkaz Porochow udania się za Bajkał z oddziałem Ricka; zdążył jeszcze przed chwilą swego wyjazdu przesłać plan do komitetu konkursowego a sam udał się na pole alki z której jak wiadomo nie wrócił żywym. Członkowie komitetu, zestawiając fakt, ze ten co zginął za cara, ostatnie swe chwile poświęcił na wyprojektowanie pomnika na cześć uratowania życia carowi, przyjęli jego plan i niebawem rozpoczęto budowę. Swoją drogą plan wysłany dla zatwierdzenia do Petersburga został tam zmieniony do niepoznania, tak w zewnętrznej ornamentyce jako też w rozkładzie murów, budowa tymczasem już była rozpoczęta. Musiano więc niszczyć mury i na nowo je wznosić wedle formy narzuconej ofiarodawcom irkuckim przez cara.

***) Krewny bliski ministra spraw wewnętrznych redaktor Irkuckich Wiedomosti.

# Z DZIEJÓW UNII

przez

JULIANA BARTOSZEWICZA.

(Wyjątek z niedrukowanego dzieła.)

## ROZDZIAŁ XX.

*(Ciąg dalszy.)*

W tem nastąpił pierwszy rozbiór Polski i Małoruś z Koniskim dostała się pod panowanie Moskwy. Najuroczystsze zaręczenia, sto razy powtarzane, zrobiła carowa Polsce, Austryi i Rzymowi, Europie całej, że zachowa w swoim zaborze nietykalność dwóch katolickich obrządków. Ależ Moskwa w Polsce, Rzplitej, w niepodległym, wolnym kraju, nie mogła znieść rzymskiego, a prześladowała, wytępiała unicki, i miałaż być względniejszą dla nich teraz u siebie? Wszakże nie dla tego zagarnęła Białoruś, ażeby ją zachowała dla Polski w czystości narodowej, plemiennej. Wzięła ją całą unicką, wzięła na wskróś katolicką. Kościołów łacińskich było na Białorusi tyleż co i ruskich unickich. Lud zarówno do jednych jak i do drugich tłumił się na modlitwę, Polska nie wierzyła, wierzyć nie mogła w tolerancyą Moskwy, boć miała czas poznać od lat czterystu Iwanów, Wasylów, Piotrów, Katarzyny. Polska jedna w Europie znała Moskwę na wylot, dla tego, jeżeli przyjmowała do zbioru praw swoich zaręczenia moskiewskie o całość wiary katolickiej, chciała jedynie zachować dla Europy w archiwach własnych nowe dowody niesłychanej przewrotności. Polska wiedziała, że biedni oderwańcy od ojczyzny, ci którzy przeszli w ręce moskiewskie, będą natychmiast ofiarami barbarzyńskiego gwałtu pod wszelkim względem. Wszyscy Polacy tracili wiele, zostawszy łupem czy Prus, czy Austryi, ale w zaborze moskiewskim tracili wszystko: cześć, majątek, wiarę, język, narodowość, prawo bycia człowiekiem, światło. Polska płakała nad dziećmi swojemi. A kościół czyż wierzył Moskwie? Po Rzpospolitej kościół najwięcej, najczęściej bywał oszukiwany przez Iwanów i Wasylów. Z kościoła katolickiego natrząsała się zawsze Moskwa, już nie ta nawet i jedynie, co była całkiem dziką, lecz ona niby cywilizowana Moskwa cara Piotra, który przypominamy, wydrwiwał publicznie papieża. Kościół nie wierzył, tylko zmuszony okolicznościami przyjmował rękojmie traktatów i wymagał zaręczeń. Cóżkolwiekbądź, jeszcze nuncyusz w Polsce Garampi, który układy w imieniu kościoła zawierał, nie wyjechał z granic Rzplitej, kiedy zaczęły się okropne prześladowania kościoła katolickiego na Białej Rusi, prześladowania trwające do dziś dnia.

Ze smutkiem wyznać potrzeba, że rząd moskiewski znalazł w duchowieństwie łacińskim przewrotne narzędzia swojej polityki. Takiem narzędziem był ów sławny potem archeolog i arcybiskup Stanisław Bohusz Siestrzencewicz, dyssydent z ojca i z matki, a nawrócony katolik, dla dostojeństw przyszłych, które mu obiecywano; człowiek którego Moskwa postawiła w zaborze za pasterza katolikom. Pierwszy zaraz krok jego nacechował się odszczepieństwem. Stolica Apostolska prekonizowała go biskupem *in partibus*, sufraganem wileńskim na Białej Rusi. Siestrzencewicz słuchając Moskwy, w duchu jej działając, związek kanoniczny, który tamte strony łączył od wieków z kościołem wileńskim zerwał i lat dziesięć prowadził to odszczepieństwo, aż Stolica Apostolska musiała bunt zuchwały uprawnić w ten sposób, że osobne arcybiskupstwo dźwignęła w Mohilewie. Siestrzencewicz i Koniski byli więc kolegami, spółpasterzami, kochali się, popierali jeden drugiego. Siestrzencewicz zdradził ojczyznę, zdradził i największego swego dobroczyńcę biskupa Massalskiego, któremu rzeczywiście wszystko był winien.

Moskwa tak już wtedy była pewną siebie, że nawet nie ukrywała się więcej. Traktaty z Polską zawarte w latach 1768 i 1775 przedrukowała u siebie dla użytku swoich wiernych poddanych, których pomocy chciała użyć w dalszych robotach. W przedruku tym opuszczony artykuł, że wiara panująca w Polsce, katolicka, będzie wiecznie panującą. Wyraz grecko oryentalny, wszędzie w przedruku tym wyrazem grecko rossyjski zastąpiono. Koniski pisze z radością, wydając polecenia do wiernego wykonawcy, takie np. wymowne w prostocie swej ustępy: „minął ten czas dla duraków chełpić się i straszyć; nie masz teraz czego lękać się; pozew niech durak daje, możecie i leżąc na ten pozew odpowiedzieć“ (Annexa do części pierwszej Relacyi w materyi o buntach str. 16 i 17). Durak to szlachcic, to Polak w języku Koniskiego. Polak pozywał o gwałt wyrządzony sumieniowi. Dla mądrego władyki fraszka prawo. Można i leżąc, twierdzi, na ten pozew odpowiedzieć. Kiedyindziej pisze: „nie ma się czego lękać tych sądów (ziemskich), ponieważ te, *jak mówią, są pod obuchem*“*) (Annexa str. 17). Skoro tylko Moskwa zajęła Białą Ruś, już się znaleźli tacy, co chcieli się złączyć „ze świętą prawowiernością;“ pojawił się naprzykład gorliwy pop Sadkowski, Koniski siedział w Petersburgu, w synodzie, i ostrożniejszy hamował nierozsądne porywy Sadkowskiego, które mogły sprawę piekielnego spisku skompromitować. Moskwa chce zawsze, przed dwustu i przed stu laty i teraz, żeby mniemano, iż przyjmuje tylko tych do swojej prawowierności świętej, którzy się sami pod skrzydła jej opiekuńcze garną. Moskwa udaje, że żąda tylko miłości. Więc kiedy Sadkowski nie zrozumiał tego, wielki mentor strofował go: „przyczyny pożytku powszechności tyczące się, wy powinniście komunikować na piśmie, niczego się nie lękając.“ Pożytek powszechności, to nawracanie na prawowierność, mniej krzyczące, ale skuteczniejsze, niż wszelki gwałt, bo zwolna trujące. „Poprawi wszystko niezadługo czas przyszły — mówi Koniski — Sadkowski coprędzej chciał wynagrodzenia za wierną służbę. Pocieszał go mądry mentor: „świat wam obaczyć jeszcze czas będzie“ (Annexa str. 16.) I te łotry pisywały do siebie po polsku!

Koniski ustępując z Polski, godnego wybrał sobie następcę, w zdrajcy Rzpospolitej i jej poddanym, w tym Wiktorze Sadkowskim. Człowiek to tak nikczemny, że trudno mu znaleść równego. Koniski go uczył, przysposabiał i natrafił na dobrego ucznia. Naprzód go pomieścił jako popa przy poselstwie moskiewskiem w Warszawie. Tam Sadkowski był szpiegiem i złodziejem. Koniski straszył go wiecznem wygnaniem za rozszafowanie bezprawne jakichś pieniędzy seminaryjskich zebranych z kollekty i przeznaczonych na jakąś fabrykę.*) Ale Sadkowski, człowiek sprytny, który przez lat 17 przeszło siedział u Koniskiego wiedział, że go Koniski potrzebuje, że z tego powodu i jemu coś wolno. Groźb się nie bał; Koniski też nie szczerze groził, tylko że tak wypadało. Sadkowski zgłębił cały systemat, nauczył się środków działania, mógł więc kraść jak każdy mąż konieczny wielkim ludziom Rossyi. Zresztą wszelki deficyt pokrywał swojemi zasługami i gorliwością dla synodu petersburskiego. W istocie na Sadkowskim spoczywały teraz wielkie nadzieje Moskwy. Carowie nie żałują rubli. Miałże taki mąż ginąć marnie dla tego, że ukradł jakie kilkaset, a może kilka tysięcy carskich rubli? Przecież to moda pospolita u czynowników kraść, a czynownikiem tylko duchownym był Sadkowski. Rząd wie o tem dobrze, że kradną wszyscy po cichu, nawet uczeni, badacze, literaci. Ależ Sadkowski i tego nie potrzebował, tak był pewny siebie; kradł jawnie i narażał swego dobroczyńcę Koniskiego. Moskwa potrzebuje zawsze zręcznych ludzi, chociażby i złodziejów; już do tego przywykła. Dla tego przy protekcyi autora „Historyi Russów,“ Sadkowski zostanie wkrótce patryarchą moskiewskiej schizmy w Polsce, bo carogrodzkiej już nie ma, najwyższym jej kapłanem, i doskonale się utrzyma na swojem stanowisku, a tymczasem jako ajent polityczny siedząc przy poselstwie moskiewskiem w Warszawie, studjuje coraz lepiej przedmiot, bada grunt, uczy się od Repninów i Stackelbergów narzucania się i zuchwalstwa.

(Dok. nast.)

*) Annexa str. 17—18. Wszystkie fakta, które podajemy są na zasadzie tych Annexów, ważnego bardzo źródła dla wyrozumienia intryg schizmatyckich Moskwy w Polsce za panowania Stanisława Augusta.

---

# ZE WSPOMNIEŃ

J. J. KRASZEWSKIEGO.

*(Ciąg dalszy).*

## II.

*Dołhe.*

Jedną może z najmniej znanych okolic kraju naszego, jest Prużańskie i Kobryńskie. Oprócz wojen napoleońskich, w czasie których ponogdzieś w tych stronach strzelano do siebie, żaden znaczniejszych rozmiarów fakt nie zapisał tych cichych miejscowości na kartach historyi. Jak ludzie szczęśliwi, Prużańskie historyi nie ma. Kątek to mający swą szczególną, odrębną, własną fizyognomią. Płaszczyzna trochę piaszczysta, posiana kamieniami nie tutejszemi, które przed tysiącem lat wody jakiegoś kataklizmu przyniosły, gdzieniegdzie gaj brzozowy, gaj olszowy, gaj sosnowy; a za moich czasów szerokie błota i moczary, na których tysiące czajek, batalionów i bekasów żyło i rozmnażało się swobodnie, nie licząc kaczek na wyżarach. Jak spojrzeć, płaszczyzna, równa, jednostajna, a wśród niej folwarczki, wioski, kościołki drewniane, cerkiewki.. Drogi się wiją brzegiem pól i łąk, często w kształcie kamiennych grobelek, czasu roztopów przyprowadzających do rozpaczy. Wśród błot brody, kępiny, kośnice, trzciny, gdzieniegdzie ów prastary kamień wędrowny, który zasnął i mchem się okrył, a ledwie już czubek jego widać nad ziemią.

Tych kamieni wędrownych, znanych mi osobiście, ileż to tam było po nad drogami i polami! Z mniejszych robiono płoty malownicze i owe śmiertelne grobelki; większe, jak możnowładzcy, zabezpieczone były od wszelkiej zaczepki i stały spokojne. Bardzo proste żywioły, z których się składa krajobraz tych nizin nad Jasiołdą i Szczarą, nad Prudem i innemi wodocieczami tutejszemi,

bardzo nawet zdają się one niewdzięczne, a mimo to tworzyły się z nich, wierzcie mi, cudne obrazki, coś wdzięcznego bardzo i tęsknego w sobie mające. Wśród takiej równiny wilgotnej leży ojcowskie Dołhe, wioska nie wielka w okolicach Prużany. Ojca rodzice odumarli dzieckiem na Ukrainie, w pieluchach został sierotą, na opiece przyjaciół dziada i dalekich krewnych. Naprzód więc ów piękny ukraiński majątek, dla ułatwienia sierocych spraw i uproszczenia, sprzedano tanio, aż do ruchomości. Sierotę zabrali krewni, wychowywali — jak sierotę. Ze znacznej dziadowskiej spuścizny, mimo że się z nią obchodzono rezolutnie bardzo, parę kroć sto tysięcy się zostało. Pułkownik Bogusław, opiekun ostatni, miał je do rozporządzenia. Kupiono za nie naprzód majętność Borowę w zapadłym kącie Polesia, ale obszerną jak niemieckie księstwo. Potem opiekun doradził zamienić te obszary dzikie na dwie wioski już nieco na świat boży wysunięte: Dołhe i Szerundowicze. Ostatnia wieś, na nieszczęście, przylegała do dóbr przemożnego spekulanta i potrzebna była do zaokrąglenia. Wywiązał się proces, z którego wypadło, że ojciec Szerundowicze utracił. I osiadł w Dołhem. Jak tylko doszedł do pełnoletności nikt się już o niego nie troszczył. Sam wszystko winien był sobie: a że nie przepadł rzucony tak na pastwę losom i własnej młodości, to za cud opatrzności uważać można.

W maleńkiem Dołhem, z maleńkim nizkim domkiem, z małą kapliczką na wzgórzu maleńkiem, z ogródkiem, z odrobiną zarośli, która cały las składała, z jedną sosną na polu pozostałą po szczęśliwszych czasach (na której zawsze mi przepowiadano obwieszenie za swawolę), w Dołhem tem ojciec i my przeżyliśmy spokojnie długie lata. Ojcu z pierwocin obywatelskiego zawodu pozostał tytuł chorążego powiatu Prużańskiego i był tak samo ostatnim pewnie chorążym, jak dziad ostatnim Łowczym Trębowelskim. — Ja mam szczęście bodaj być ostatnim Sędzią Granicznym tegoż powiatu Prużańskiego, choć żadnej nigdy granicy nikomu rektyfikować już nie miałem sposobności. Jak widzicie, dygnitarstwami się pochlubić w ostatniej epoce żywota rodzin nie możemy. Dawniej pono siadało się i wyżej, ale fortuna kołem się toczy. Dopóki rodzina siedziała na Mazowszu, zkąd pochodzi — było lepiej — potem się rozproszyła po świecie za chlebem — i rozrodziła i na skromnym zagonie Pana Boga chwaliła. Wędrowały tak u nas zbyt potomstwem pobłogosławione familie po wszystkich ziemiach Rzeczypospolitej, szukając dla siebie krescytywy.

Pan Chorąży, gdy chciał trochę świata zobaczyć, rozsłuchać się, odżywić, jechał do rodziców matki na Podlasie do Romanowa, niekiedy do Grodna, w ogólności jednak, wyjąwszy urzędowanie, na którem mu nie zbywało, w domu siedzieć lubił, ogrodem, książką, niekiedy skrzypką, gawędką i gospodarstwem się zabawiał. Sąsiedztwa miłego było dosyć, nie pamiętam istotnie, żeby kiedykolwiek z którymkolwiek z sąsiadów najmniejsza kwestya zaszła, coby pogodne niebo zachmurzyła. W sąsiedztwie najbliższem były domy pokrewne Szwykowskich i Moraczewskich, a dalej dużo innych, Bułharynowie, Trębiccy, Wredt'owie. Przez groblę długą w Sapieżyńskich Bogusławcach mieszkał Grabowski, który je dzierżawił szczęśliwie. Na grobli tej przypatrywałem się szalonym zapasom batalionów, które się tu po całych dniach śmiertelnie tłukły.

W Połonnym Hrudzie, nieopodal mieszkał kapitan Sobolewski. Była to jedna z najoryginalniejszych postaci w okolicy. Mężczyzna dobrze stary, łysy tak że mu brwi zupełnie wypełzły, twarz szeroka i blada, spokojna, dziwnie spokojnego, nieco szyderskiego wyrazu, czoło wielkie, postawa żołnierska, ubiór staroświecki. Najczęściej frak szaraczkowy, a raczej makowego koloru. Na pierwszy rzut oka poznać było w nim można żołnierza. Kapitan Sobolewski czasem przyjeżdżał wózkiem, a niekiedy, jeżeli bród wyschnął między Połonnym Hrudem a Dołhem, przychodził i pieszo, z fajeczką na krótkim cybuszku w ustach, na boku oryginalnym sposobem umieszczoną, z kapciuchem na guziku. Grywali z ojcem w maryasza, a kapitan opowiadał swe dzieje, bo był za Rzeczypospolitej w wojsku francuzkiem i za Napoleona. Republikanin, żołnierz, niedowiarek Boży, dawał matce naszej powód do nieustannej troski o zbawienie, ale nawrócić go nie było środka. Nie chwalił się on ze swą niewiarą, nie popisywał z nią, ale przyparty do powiedzenia co myśli, mówił bez ogródki. Jakim sposobem znalazł się Sobolewski we Francyi w czasie wybuchu wielkiej rewolucyi, gdzie papiery swe legitymacyjne szlacheckie spalił, idąc za przykładem Francuzów — nie mogłem dojść nigdy. Z czasów szczególniej kampanij pierwszych w obronie granic Francyi, potem z wypraw włoskich miał tysiące szczegółów do opowiadania. Dziś mi trudno przypomnieć, gdzie czasu oblężenia jadł szczury, ale potrawa ta wbiła mi się w pamięć.

Posądzałem mocno kapitana, mimo jego prostoduszności i dobroci że — pływał. Opowiadał z wielką prostotą i przejęciem te dzieje lat pamiętnych, najczęściej stojąc, w postawie żołnierskiej, z głową podniesioną i nieodstępną fajeczką w ustach, którą tak umiał trzymać w kątku, że mu do mówienia nie przeszkadzała. Człek był spokojny, skromny, ubogi, a nigdy się nie skarżący na niedostatek, nawykły do wszystkiego, na duchu uspokojony. Gdyśmy go, co się często zdarzało, wyciągnęli na jakie opowiadanie o wojnach Rzeczypospolitej, ożywiał się, rozgadywał i z nadzwyczajnem bogactwem szczegółów, opisywał nam co wycierpiał w czasie oblężeń, w pochodach i bitwach. Nie mogę go sobie inaczej przypomnieć, jak stojącego i wyprostowanego, w makowym fraku, z fajką w ustach i kapciuchem na guziku. Pomimo służby w wojsku francuzkiem i długiego pobytu za granicą, mówił źle po francuzku. Miałem, słuchając go, podejrzenie, że chyba komponował opisy bitew, tak dziwną w nich okazywał pamięć. Byłem więc bardzo szczęśliwy, gdy mi się raz udało dostać pamiętniki Dumouriera, pod którym kapitan służył, i z pomocą ich postanowiłem uczynić próbę. Odczytałem z uwagą jednę z tych bitw, o których Sobolewski opowiadał i przy pierwszej zręczności zagadnąłem go znowu o nią.

Jakież było zdziwienie moje, gdy stary kapitan począł opowiadać słowo w słowo cały przebieg walki, tak jak ją jenerał opisuje. Odtąd miałem dlań tem większe poszanowanie i zawstydziłem się niedowiarstwa mojego. W późnym bardzo wieku, do końca krzepki, zmarł wreszcie nasz sąsiad i pamięć o nim z nim razem. Matce naszej, pomimo jej starań i podsuwanych mu książek, nie udało się nawrócić zakamieniałego niedowiarka. Grzecznie bardzo przyjmował książki, bo czytać lubił, lecz wpływu nań nie wywierały. Umysł jego zatrzymał się na jakiemś stanowisku, którego już przekroczyć nie miał ani siły, ani ochoty.

Były to jeszcze czasy, gdy na ekscentrycznych figurach na świecie naszym nie zbywało. Pieszo przywędrował czasem o kiju stary Dołubowski z wierszami osobliwemi i trywialną wesołością swoją. Rodzaj Diogenesa to był, któremu równie jak kartuzowi O. Grądzkiemu w głowie się nieco zamąciło. Dołubowski prawił improwizacye w rodzaju Rozbickiego, które powtarzano. Zabawny pan komornik Denisko należał też ze swą poczciwą naiwnością, łatwowiernością i dziwacznemi pomysłami do tej gromadki, ożywiającej okolicę. Nadzwyczaj dowcipny, oczytany, nie bez zdolności, ale niespokojnego ducha dziedzic Czachca B. mógł się też liczyć do ekscentryków. Na typach wybitnych temu zakątkowi nie zbywało, nie mogę dziś ich wyliczyć wszystkich. — Żyło się tu bardzo spokojnie, wesoło i zgodnie. Społeczeństwo ówczesne, od górnych sfer poczynając, do najniższych, wyrabiało się jakoś daleko indywidualniej, niezależniej od przyjętego prototypu, swobodniej i zyskiwało na tem z wielu względów. Nie raziły te cechy odrębne, niezwyczajne, które starano się poszanować i z wyrozumiałością się z niemi obchodzić. Co za niezmierny zapas wspomnień przeszłości, opowiadań, tradycyj, anegdot krążył w tych kółkach — wyliczyć niepodobna. Mieszkający w Połonnym Hrudzie, obok Sobolewskiego, pan de Larzac, którego ojciec był komendantem w Nieświeżu u k-cia Radziwiłła Panie Kochanku, przynosił nam powieści o Księciu Wojewodzie. Żyły o nim tradycye i w spokrewnionym z Radziwiłłami domu Trębickich w Linowej, gdzie jeszcze ostatnich karłów nadwornych, po polsku strojnych, oglądaliśmy. Nidaleko od Prużany zaczyna się puszcza Białowiezka, na której skraju jakiś czas mieszkał Franciszek Karpiński, z którym ojciec był blizko znajomym, i, jeśli się nie mylę, wyznaczony przez niego na wykonawcę testamentu. Ze wspomnień o Karpińskim, któreśmy niegdyś już spisali, zostało mi w pamięci smutne wrażenie zrezygnowanego, ale zwichniętego i nieszczęśliwego człowieka, nie umiejącego się z losem i życiem pogodzić. Chorobliwa czułość przerodziła się w nim w rodzaj mizantropii, znośniejszej wszakże niż cyniczne dziwactwo Trębeckiego.

Powielekroć przejeżdżałem w różnych kierunkach tę Białowiezką puszczę, której olbrzymie drzewa i malownicze gąszcze jeszcze mi stoją przed oczyma. Nie wiem, czy w całej Europie znajdzie się gdzie las tak pierwotny jakiejś epoki, nadzwyczajnej siły wzrostu noszący cechę. Niezmierzone błot obszary, rozległe puszcze Białowiezka i Kobryńska nadawały tej okolicy charakter przypominający dawne wieki, gdy się te kraje zaludniać dopiero poczynały. Dziś on już w znacznej części się zmienił. Lasy przerzedzone i powycinane zostały, błota osuszone i zmienione na łąki żyzne. Tam gdzie między Sapieżyńskiemi Bogusławcami, a Dołhem była tak zwana dyferencya i granica nieoznaczona na niezgruntowanych grzężnicach i kępiastem błocie, dziś wybity kanał ściągnął wody i manna, którą na nich zbierano, a którąśmy się karmili z upodobaniem, pewnie rosnąć przestała. Kto wie, ucichły może owe stada czajek i batalionów, owi błot mieszkańcy, których głosy znaliśmy tak dobrze, bo stanowiły muzykę smętnego krajobrazu tego zapadłego kątka....

## W NOC CZERWCOWĄ.

Do mojej celi, czarnej od mroku,
Księżyca promień zakradł się biały,
(Pewnie go kwiaty, co w oknie stały,
Na pocałunki zwiodły z obłoku).
Po ścianach rozsnuł hafty bogate,
Płowe od kurzu przejrzał obrazki,
Twarz mi osrebrzył, potem komnatę
W urok Faustowy ubrał i w blaski.

Rzadko przychodzi ten strażnik nieba
Śród murów ognie palić srebrzyste;
Zwierciadła wody kocha on szkliste,
Poezyą strojnych miejsc mu potrzeba.
Gdzie zdrój się wije szarfą błękitną,
Gdzie jodły z szumem gną harde czoła,
Gdzie w klombach róże płomieniem kwitną
I gdzie szkła kwitną w oknach kościoła,
Gdzie mgła z morskiego wstaje odmętu —
Tam on zawiesza swój sierp z dyamentu.

Zkądże mu dzisiaj przychodzić do mnie?

Miłośnie gwarząc, w oknie mem stały
Kwiaty pól naszych, przybrane skromnie.
(Rwałem je rankiem, na łączce małej
Za miastem). Był tam bławat niebieski,
Lilia, perłowe konwalii łezki,
Maki i modrych pęk niezabudek.
Okno płonęło więc jak ogródek
Na grzędach, kwiatków pełen ubogich,
Ale, w ubóstwie tem, sercu drogich
Nad wyraz wszelki...

Bo choć w purpurze
Uwielbiam kwiatów królową, różę,
Choć, gdy mnie duszny zapach obwieje
Mrącej śród tańca w gazy obłoku,
Z źrenicą pełną łez ja się śmieję;
Choć lubię wszystkie cieplarni kwiaty,
Te dzieci zbytku w szacie bogatej,
Co farb harmonią wdzięczą się oku;
Choć po królewsku nie skąpię serca
I tym, co przyszły z za morza blade —
Nad tłum ten przecie, pysznemi szaty
Godny sułtanki śniadej kobierca,
Czucia me wam są najchętniej radę,
Wam, dzieci słońca, piosnek i rosy,
Zalotne w splotach dziewiczej kosy,
Nocami śpiące, rozśmiane w ranki,
Ciche, gdy ołtarz wami ubierą,
Głośne, gdy wepną za gors kochanki,
U narzeczonej w łzach uśmiechnięte,
U dziecka z twarzą w uśmiechu szczerą,
A u młodziuchnej żonki rozumne;
Smutne, gdy wami obsypią trumnę,
A gdy was sztuki nie tknął grzech — święte!

Z modrych, świtatłami tkanych przestrzeni,
Wyście to, szepcząc, w komnatę lichą
Marzeń przywiodły gwiazdę — i cicho
Snów zeszedł anioł w szacie z promieni,
I chórem dzwonić począł skrzydlaty
Ptaków czy duchów tłum...

Drżąc klęczałem,
Z roskoszy duchem senny i ciałem,
A fala niosła śpiew, ognie, kwiaty...

Oczyma duszy cuda widziałem:

Wioskę, co w wodzie stopami pluszcze,
Dymu kolumny i ognie w chatach...
Altanę w srebrne odzianą bluszcze
I *ją* w altanie, śpiącą na kwiatach...

Ciemność przejrzystą, szepty i łkania,
Ciszę i w ciszy — pocałowania...

W szpalerach parku białe marmury,
Fontannę, drżące akacyi liście,
Dwór, po nad dworem gołębi chmury,
I księżyc, z twarzą lśniącą ogniście...

Ciszej.. we dworze pianino śpiewa,
Otwartem oknem, przez mrok i ciszę,
Burzliwych tonów rwie się ulewa;
Pieśń jako raca, pęka i świeci,
Skrami na wodę sypiąc i drzewa,
Aż zgasła... teraz liśćmi kołysze
Melodya słodka, jak szczebiot dzieci,
Jak o południu brzęk rzeszy pszczolnej,
Jak pacierz, kiedy do Boga leci,
Jak deszcz na wiosnę. Znów wiatr swawolny
Porwał ją — skłócił. W taneczne koła
Splątana, śmiechem ciska i wrzawą,
W moc rośnie, szału! tonami woła,
I mdleje, chmurą zakryta krwawą ..
To Szopen! nerwów śpiewak i serca;
A ta pieśń wrząca, co krzepnie lawą,
To brylantowy deszcz jego *Scherza*.

Widziałem potem lasu gąszcz ciemną.
Drzewa pokłony biły przedemną.
Niby wzruszony wichrem tłum kłosów,
I myśl mnie tknęła dziwna (przez czary
Chochlików pewnie), że las kościołem
Jest, a brzóz białe pnie, to filary;
Że jodły pełne tajemnych głosów,
To ofiarnicy, a z drżącem czołem
Osina — trwożne narodu fale;
Że pełzające po krzewach pary,
To dym kadzidła, a chór słowików,
To głos organu podczas ofiary...
I tu mych widzeń kres był.

Komnatę.
I kwiatów polnych pęk i obrazki,
Noc zalewała — było w niej parno
I głucho — ale źrenice w blaski,
A myśli w rozkosz miałem bogate;
Więc mi nie brakło na noc tę czarną
Światła i gwaru. Ugiąwszy czoła,
Słowa modlitwy mówiłem święte
Głośno — choć usta miałem zamknięte.

W noc tę jam Ciebie sercem czcił, Boże!
I kiedy ziemi hymn brzmiał dokoła,
Mówiłem szczęścia pacierz, w pokorze
Myśląc: Wszechmocny! sługą Twym jestem...

Panie! Twój anioł przyszedł z szelestem
Łabędzich skrzydeł i lichą celę
W raj zmienił. Świateł wzniósł w nią potoki,
Zapachu tuman, gwar i wesele...

Panie! Tyś w gwiazdy ubrał obłoki,
Aniołów w skrzydła, a w zapach róże;
Ty głuszy leśnej dałeś słowika,
Przepaściom orła, a orłom burzę;
Słońce, gdy gasnąc drzwi dnia zamyka,
Twą wolę pełniąc, gaśnie w purpurze;
Maj się kwiatami pyszni, a kwiaty
Motylów rzeszą; noc ma sny złote,
Jutrzenka pacierz; zdrój ciche łkania,
Boleść nadzieję, co upaść wzbrania;
Bór paproć, dziewczę śmiech i pieszczotę,
A ludzkość — Ciebie...

Przed Twem obliczem
Panie! ja, sługa Twój, jestem niczem,
A przecie dłoni Twych dar wspaniały
I mnie cichego znalazł na boku...

Dar ten, to władza w duszy mej wzroku
Dziwna, że mogę raj widzieć cały
W mojej komnatce czarnej od mroku,
Gdy w nią księżyca snop wejdzie biały.

*Wiktor Gomulicki.*

---

# Gabryel Conroy.

**Romans**
BRET HARTA.

Tom czwarty.

## ROZDZIAŁ VII.

*(Ciąg dalszy.)*

*Lud contra Johnowi Doe, alias Gabryelowi Conroy i Joannie Doe, alias Julii Conroy, przed sędzią Boompointer.*

Dzień rozprawy publicznej wzbudzał wielkie zajęcie w One horse gulch. Na długo przed dziesiątą sala sądowa, a nawet korytarze i przedpokoje napełniły się ciekawymi. Należy tu nadmienić, że główne punkta wypadku, wskutek czasu rozdzielającego rozprawę od faktu, były zapomniane. Pamiętano tylko o tem, że pierwsze znakomitości kraju zebrały się dla wysłuchania rozpraw; że jeden z najzdolniejszych adwokatów z San Francisco, pozyskany został dla oskarżonego za honorarium, które obliczano na pięćdziesiąt a nawet stotysięcy dolarów i że znakomity pułkownik Starbottle z Siskiyou popierać będzie skargę.

O godzinie dziesiątej wszedł Gabryel do sądowej sali w towarzystwie swego adwokata, a za nim pułkownik Starbottle. Sędzia Boompointer, który także wszedł w tej chwili, ukłonił się wyrachowanie Arturowi i poufale pułkownikowi Starbottle. Czuł się nieco zmięszanym pod spojrzeniami sławnego młodego adwokata z San Francisco. Artur był za mądry by w sądzie występować ze zwykłą swą dumą; pomimo to sędzia Boompointer nie jasno domyślał się, że Arturowi przyjemnie byłoby gdyby siedzący pod nim sekretarz sądowy przy tej sposobności przywdział świeżą koszulę, a on sam (sędzia Boompointer) także na ten raz nie zaniedbał pomyśleć o kołnierzykach i mankietach.

Ubolewam, że nie posiadam in extenso świetnego wystąpienia pułkownika Starbottle, które dziennik „Banner" scharakteryzował jako klejnot prawniczej wymowy.

Między innemi nadmienił pułkownik, że obwiniony sam się postawił po za obrębem współczucia uczciwych ludzi przez swą przeszłość, a powtóre wskutek sposobu, w jaki ostatni swój czyn popełnił. Zapowiedział, że przedstawi jako pewna niekunsztowność — pewne... hm!... hm!... niewykształcenie, niekrzesanie, całkiem obce gentlemanom, leżą w samym sposobie wykonania zbrodni. Występek zarzucany obwinionemu... mógłby... hm! hm!... być popełniony tak samo przez Chińczyka lub murzyna. Chcę wykazać hm!... hm!.. że ta namiętność, ta hm! hm!... ta nieoceniona... hm! hm!... niebezpieczna słabość, panująca... tak, hm! hm!... w dumnym pałacu jak i w hm! hm!... w chacie nisko zrodzonego niewolnika... nie dotknęła zimno kalkującego umysłu Gabryela Conroy! Spojrzyjcie na niego i powiedzcie, oparci na waszej przysiędze, na waszem doświadczeniu, czy jest on człowiekiem, któryby poświęcił się dla kobiety? Spojrzyjcie na niego i powiedzcie mi pod słowem honoru, jako ludzie osobiście odpowiedzialni za swe zdanie, czy jestto człowiek, któryby podchlebstwami... hm! hm! pięknych ust... dał się wciągnąć w niebezpieczne położenie, albo też... hm! hm!... składać ofiary na hm! hm!... ołtarzu Wenery!

Oczy wszystkich zwróciły się ku Gabryelowi, który, co prawda, w tej chwili nie był podobny ani do słodkiego Amaryllisa, ani do namiętnego Otella. Poważna twarz jego, na której zaległ odcień smutku, zarumieniła się przy tym bezpośrednim zwrocie oskarżenia, a długie niezgrabne nogi, które starannie chował był pod krzesło, jeszcze głębiej tam się wsunęły. Gdy zaś przekonał się, że podczas retorycznej pauzy pułkownika, był przedmiotem powszechnej uwagi, wyjął grzebyk z kieszeni i począł z obojętnością rozczesywać sobie włosy.

Następnie przystąpił pułkownik do nakreślenia niezmiernie poetycznego obrazu zamordowanego Ramireza — „Krajowiec, ten wzbudzał sympatya w każdym człowieku z Południa, dziecko-

podzwrotnikowe, czynny, ognisty i w wysokim stopniu wrażliwy, tak jak my wszyscy, panowie, na słabości serca. Ten człowiek — ciągnął pułkownik dalej — reprezentant jednej z naszych najstarszych hiszpańskich rodzin,... hm! hm!... które siągają czasów Cyda i don Juana — człowiek ten padł ofiarą mściwości i podstępu pani Conroy i niegodnych, tchórzliwych obaw tego Gabryela Conroy — złośliwości tej kobiety i noża tego mężczyzny.“

Pułkownik Starbottle udowodni, że pani Conroy, dawniej w rzeczywistości pani Devarges, starała się o prawną opiekę tego ognistego i szlachetnego Ramireza, dla poparcia swych pretensyi do gruntów będących wówczas w posiadaniu obwinionego. Ramirez, który opowiadanie pani Devarges przyjął z sympatyą, właściwą namiętnym naturom, podawał jej pomoc, dopóki jej zamążpójście za Gabryela nie wykryło oszukaństwa. Opanowawszy we wspólnym interesie grunta, potrzeba było, jedynego świadka, Ramireza, z drogi usunąć. Żona znalazła w mężu powolne narzędzie. A jak czyn został dokonany? Czy otwarcie i w obecności świadków? Czy zechce Gabryel zachować choć cień cnoty i pod pozorem obrażonego męża wyzwać ofiarę do walki? Nie, nie! moi panowie! Spojrzyjcie na mordercę! zauważcie krzyczącą sprzeczność między jego ogromną masą ciała i.. hm! hm!... delikatną, wdzięczną, młodocianą postacią jego ofiary! a poważniejcie wyobrażenie o... hm! hm!... o ogromie zbrodni.

Po tej wstępnej mowie, nastąpiły zeznania świadków, t. j. fakta bezwiednie mniej lub więcej ubarwiane, stosownie do otwartości i uczciwości zeznających, ich uzdolnienia do pojmowania widzianego faktu i usposobienia do podawania więcej swego własnego zdania, aniżeli istoty rzeczy. Gdy tym sposobem ślepi zeznali co widzieli, a kulawi gdzie biegali i skakali, skarga utrzymała się pod nadmiarem pewności zwycięstwa i tryumfu.

Świadkowie zeznali, że Ramirez umarł wskutek rany nożem zadanej; że przedtem Gabryel miał z nim sprzeczkę i na kilka godzin przed morderstwem widziany był na wzgórzu; że bezpośrednio potem uciekł i że żona jego dotąd nie jest odszukana.

Wiele z tych zeznań osłabiły zeznania im przeciwne. Lekarz, który dopełniał oględzin trupa, nie mógł sumiennie oznaczyć, czy zabity, który w wysokim stopniu miał rozwinięte suchoty, nie byłby padł tego samego wieczora ofiarą pomienionej choroby. Ten świadek, któremu zdawało się, że widział jak Gabryel zabitego popchnął nadół ścieżki, nie mógł z pewnością poświadczyć czy czasem zabity nie pociągnął za sobą Gabryela. Pomimo to stawiano zakłady za Starbottlem przeciw Poinsettowi.

P. Poinsett nie zgadzał się z uczonym swym przyjacielem w tem by obecny wypadek prawny był bardzo ważny, lub szczególny. Był on raczej zupełnie zwyczajny... ku wielkiemu swemu ubolewaniu, musi dodać, nadzwyczaj pospolity, w Kalifornii.

Chciałby on popierać teoryą utalentowanego oskarżyciela, a mianowicie, że pani Conroy popełniła czyn, o który klient jego jest obwiniony— i z tego powodu żąda by obwiniony, bez dalszych wybiegów, powołany został na świadka.

Nagłe wrażenie powstało po tych słowach w sali. Gabryel zwolna wyciągnął w górę olbrzymią swą postać i poszedł spokojnie i mierzonym krokiem Widzowie, koło których przechodził w tłumie, zauważyli, że oddech miał przyspieszony. Gdy jednak doszedł do ławy, twarz jego uspokoiła się i błędne oczy ześrodkowały stanowczo na twarzy pułkownika Starbottle. Sekretarz sądowy odebrał przysięgę.

— Jakie jest nazwisko pana? zapytał Artur.

— Sądzę, że pan chcesz znać właściwe moje nazwisko? zapytał Gabryel z całą swoją słodyczą.

— Naturalnie, rzeczywiste nazwisko pana — odrzekł Artur, nieco zniecierpliwiony.

Pułkownik Starbottle nadstawił uszu, a oczy jego, gdy podniósł je, spotkały się z ponuremi oczyma Gabryela, który potem obojętnie zwrócił je na sufit.

— Rzeczywiste moje nazwisko — moje nazwisko prawdziwe jest Johnny Dumledee. J-o h-n-n-y Johnny, D-u-m-b-i l-d e, Dumbleede, Johnny Dumbledee.

Dreszcz przeszedł obecnych, potem zapanowało głuche milczenie. Artur i Maxwell jednocześnie zerwali się na nogi.

— Johnny Dumbledee, powtórzył Gabryel powoli, — Johnny Dumbledee jest moje nazwisko rzeczywiste. Około wielkiejnocy — dodał, z zaufaniem zwracając się do zdumionego sędziego Boompointer — koło wielkiejnocy mówiłem i utrzymywałem, że jestem Gabryelem Conroy, gdy to wcale prawdą nie było. A kobieta, którą poślubiłem — tej imię było Gracya Conroy. A cała kupa kłamstw, które tu ten bezbożny stary łgarz wypowiedział (palcem wskazał na mężnego pułkownika Starbottle) — przekracza mój horyzont! Ta kobieta — moja żona, była i jest Gracyą Conroy! (Z powagą do pułkownika) słyszysz pan!... i jedynym oszustem, wierzcie mi panowie i wysoki sądzie — jestem ja!

---

## ROZDZIAŁ IX.

*Zarzuty.*

Ogromne zdumienie, jakie odpowiedź Gabryela wywołała, tak opanowało wogóle wszystkich obecnych, że nawet okoliczność, iż sami jego obrońcy podzielali je, pozostała niedostrzeżoną. Maxwell zamierzał wstać; ale Artur położył mu rękę na ramieniu.

— Ten człowiek ostatecznie oszalał! to widoczne samobójstwo! szepnął Maxwell oburzony. Musimy wycofać go z ławy świadków.

— Ts! odrzekł Artur prędko, ani słowa więcej. Jeżeli okażemy zdumienie, zginęliśmy.

Następnej chwili oczy wszystkich zwróciły się na Artura, który powierzchownie zupełnie spokojny, stał nieruchomy. Jedna tylko myśl panowała wśród obecnych. Jakie wyjaśnienia przyniesie najbliższe zapytanie? Cisza była prawie przykrą, gdy Artur powiódł wzrokiem po sali i przysięgłych, jak gdyby chciał wymierzać wrażenie, wywołane starannie ułożonym dramatem. Dopiero gdy wszystkie grzbiety naprzód się wychyliły i każde ucho wytężyło się, zwrócił się ze swobodą, ale i z pewną zarozumiałością ku sądowi.

— Nie mamy żadnych więcej pytań do stawienia, prześwietny sądzie, rzekł spokojnie i powoli — i usiadł.

Wrażenie wywołane tem prostem, naturalnem i obfitem w skutki zachowaniem się, było niezmierne. Zakłady stanęły teraz jak dwa przeciw jednemu za Arturem.

Sędzia Boompointer spojrzał na pułkownika Starbottle. Gentleman ten, zupełnie zbity z tropu zachowaniem się obrońców, przerzucał swe papiery, kaszlał, wydymał pierś — w końcu zaczął przesłuchanie.

— Powiedziałeś pan, że nazwisko jego jest... hm! hm! Johnny... hm! hm! Johnny Dumbledee. Jaki miałeś pan zamiar... hm! przybierając nazwisko Gabryela Conroy?

*Gabryel* (z przebiegłością, jednak i z zaufaniem, nachylając się na poręcz swego krzesła) Jak się panu zdaje?

Wśród powszechnego śmiechu, świadek, surowo poinformowany został przez sąd, że stawienie zapytań nie należy do czynności świadka. Że świadek ma tylko odpowiadać.

— *Gabryel:* Ha! Gabryel Conroy było to piękne nazwisko,... nazwisko człowieka, którego niegdyś znałem i który umarł w głodowym obozie. Tym sposobem łatwiej mi było przedstawić się jego siostrze... pojmujesz pan, panie sędzio!... siostrze Gracyi, która była moją żoną.

Pułkownik Starbottle oświadczył, że nie ma innych pytań do stawienia i Gabryelowi polecono usunąć się.

Teraz zakłady stały jak jeden przeciw pięciu za Poinsettem. Rękę Gabryela, gdy powracał na miejsce serdecznie ściskano. Nastąpiła pospieszna narada obrońców. Pułkownikowi Starbottle wręczono karteczkę. Ciekawość wielka powstała, z powodu grubo zakwefionej damy, która w parę chwil potem weszła i z nadmiarem grzeczności przez pułkownika Starbottle do krzesła została doprowadzona. Powszechna niecierpliwość zapanowała między słuchaczami i na ławie przysięgłych.

Pułkownik Starbottle, prawdopodobnie pod wpływem ożywionej i eleganckiej rozmowy z zakwefioną damą, odzyskał świeżość umysłu, podniósł się na swych krótkich nogach i wydobywszy z kieszeni chustkę, położył ją przed sobą na stole. Potem wsparłszy dwa swe pulchne palce na kolanach i wychyliwszy się naprzód całym ciężarem, zwrócił się z grzecznością ku zakwefionej damie i zawołał:

— *Gracya Conroy!*

Postać podniosła się lekko, z wdziękiem, zawahała się na chwilę, a potem przesunęła się jak cień, lub jak zwinna ryba przez głębinę. I nim jeszcze rozkołysany tłum zdołał uspokoić się, stała już przy ławie świadków. Natenczas szybkim i zręcznym ruchem odrzuciła na bok mantylę, która według zwyczaju hiszpańskiego była zarazem nakryciem głowy i ukazała twarz tak niepospolicie piękną, iż nawet Manuela i Sal oniemiały z podziwu. Złożyła przysięgę ze spuszczonemi oczyma, których długie rzęsy były tak cudne, iż spuszczenie to, wynikłe z prostej skromności, przez dwóch niewieścich krytyków poczytane zostało za nader umiejętnie obmyślaną kokieteryą. Potem podniosła te ciemne oczy i utkwiła je w Gabryela.

Pułkownik Starbottle wyciągnął rękę z niezmierną galanteryą i zapytał:

— Jakie jest... hm! hm!... nazwisko pani?

— Gracya Conroy.

— Czy masz pani brata nazwiskiem Gabryel Conroy?

— Mam.

— Spojrzyj pani po sali, czy go nie poznasz!

Kobieta, ciągle mając oczy utkwione w Gabryela, wskazała na niego ręką w rękawiczce.

— Poznaję go, rzekła; o to on.

— Obwiniony przed sądem?
— Tak jest.
— Gabryel Conroy?
— Tak.
— Jak dawno pani go nie widziałaś?
— Od sześciu lat.
— Gdzieś go pani widziała po raz ostatni i w jakich okolicznościach?
— W głodowym obozie w Sierrah. Opuściłam go tam, by postarać się o pomoc dla niego i dla mojej siostry.
— I od tego czasu nigdy go pani nie widziałaś?
— Nigdy.
— A czy wiesz pani, że między... hm! hm!... nieszczęśliwymi, którzy tam zginęli, sprawdzono trupa, którego uznano za trupa pani.
— Wiem.
— Czy może pani wyjaśnić tę okoliczność?
— Mogę. Gdym odchodziła, miałam na sobie ubranie chłopca. Suknie moje pozostawiłam dla pani Piotrowej Dumphy, należącej do naszego towarzystwa. Jej to trupa, w moje suknie ubranego, poczytano za trupa mojego.
— Czy masz pani jakie inne dowody na potwierdzenie tego faktu, oprócz swego zeznania?
— Mam. Pan Piotr Dumphy, mąż pani Dumphy; brat mój, Gabryel Conroy i...
— Raczy wysoki sąd... (ozwał się głos Artura Poinsett, zimny, spokojny i powolny)... raczy wysoki sąd przyzwolić, żeby ten dowód tożsamości naszego klienta jako Gabryela Conroy został przyjęty wraz z zeznaniem świadka bez dalszych potwierdzeń. Szanowny sąd i panowie przysięgli nie omieszkają w oświadczeniu naszego klienta co do własnego jego nazwiska i pochodzenia, dopatrzeć tylko pośpieszne, niedorzeczne i wcale nie właściwe usiłowanie osłonięcia reputacyi swej żony, ku której głęboką miłość czuje.

Twarz Gracyi dotąd blada, oblała się żywym rumieńcem, gdy zwróciła oczy na Artura Poinsett. Ale ten utrzymał się w swem zimnem zachowaniu, gdy Gracya Conroy, na bardzo uprzejme na ten raz skinienie sędziego Boompointer, opuściła ławę świadków. Na zapytanie sądu, pułkownik Starbottle dał do zrozumienia, że niema do przytoczenia żadnych więcej dowodów.

(C. d. n.)

# CZARNE INDYE.

(W przepaściach ziemi).

przez

**JULIUSZA VERNE.**

przełożył z francuskiego

ARKADYUSZ KLECZEWSKI.

*(Ciąg dalszy).*

## III.

### *Podziemia Królestw zjednoczonych.*

Dla dokładniejszego zrozumienia naszego opowiadania, niezbędnem jest przypomnieć sobie w krótkości w jaki sposób powstały kopalnie węgla.

W epoce geologicznej, kiedy kula ziemska znajdowała się jeszcze na drodze przeobrażeń, otaczał ją pewien rodzaj atmosfery zgęszczonej, powstałej z wyziewów wodnych i przesyconej kwasem węglowym. Zwolna wyziewy te przemieniły się w potopy deszczów tryskających jakby z miliona miliardów butelek selcerskiej wody. W samej rzeczy; płyn ten przeciążony kwasem węglowym, wylewał się nawalnemi potokami na grunt grzęzki jeszcze, źle ukształtowany, sktonny do powolnych lub gwałtownych przemian, a utrzymywany w nawpół płynnym tym stanie, działaniem podwójnego ciepła, to jest promieni słonecznych i ognia wewnętrzego, nieskoncentrowanego jeszcze w głębi ziemi. Cienka jeszcze i niezupełnie stwardniała skorupa ziemska, ułatwiała przesiąkanie wody i ztąd powstała owa fenomenalna roślinność, bez wątpienia taka sama, jaka prawdopodobnie wytwarza się obecnie na powierzchni planet drugorzędnych (Wenery albo Merkurego), więcej od naszej ziemi zbliżonych do słońca, a tem samem bardziej wystawionych na działanie życiodajnych promieni jego.

Ląd stały przeto, jakkolwiek niedostatecznie jeszcze wzmocniony, pokrył się olbrzymiemi lasami; że zaś kwasu węglowego, tak sprzyjającego rozwojowi w państwie roślinności, było nad miarę, rośliny wybujały w drzewa, właściwych zaś roślin w formie ziołowej nie było wcale. Na wsze strony rozciągały się massy drzew niebotycznych, pozoru jednostajnego, bez kwiatu i bez owocu, niezdolnych do wyżywienia żyjącego stworzenia. Ziemia nie była jeszcze podówczas przygotowaną na zjawienie się królestwa zwierzęcego.

Drzewostan owych lasów przedpotopowych był następujący: kalamity tj. skrzypy drzewiaste, lepidodendrony, rodzaj olbrzymich widłaków, wysokich na dwadzieścia pięć do trzydziestu metrów, o pniu średnicy jednego metra, asterofile, paprocie kolosalnych rozmiarów*), jednem słowem same rośliny skrytopłciowe, imponujące nie tyle różnorodnością gatunków ile olbrzymim swym wzrostem, gdy dziś też same rodzaje odszukać można jedynie wśród najskromniejszych odmian roślinności ziołowej.

Stopy tych olbrzymów nurzały się w bezmiernem bagnisku, utworzonem z połączenia wód słodkich z morskiemi, a niebotyczne konary ich chciwie nasycały się kwasem węglowym przepełniającym podówczas atmosferę nieprzydatną jeszcze do organicznego życia i można wyrzec niejako, że przeznaczeniem ich było skupienie i nagromadzenie tego kwasu pod postacią węgla we wnętrznościach naszego globu.

W samej rzeczy, była to epoka trzęsień ziemi, owych gwałtownych przewrotów, spowodowanych działaniem ognia wewnętrznego, a zmieniających nagle nieustalone jeszcze przestworza lądów na powierzchni. Tu, z nieznacznych wypukłości tworzyły się pasma gór; tam, w bezdennych przepaściach występowały nowe oceany lub morza; a jednocześnie całe lasy zapadały w głąb ziemi przebijając się przez cienką jej skorupę i ruchome pokłady, dopóki nie napotkały gruntu pierwotnego jaki stanowią naprzykład skały granitowe, lub też dopóki same przez się nie wytworzyły przez osiadanie dostatecznego punktu oparcia.

Że tak w istocie być musiało a nie inaczej, przekonywa nas o tem geologiczny rozkład warstw wewnętrznych zamieszkałej przez nas ziemi; na gruncie pierwotnym mieści się pierwszy pokład osadowy; dalej idą warstwy drugorzędne, których niższą część zajmują pokłady węgla; następnie warstwa trzeciorzędna, a powyżej dopiero pojawiają się warstwy napływowe dawniejsze i najnajnowsze.

W odległej owej epoce, potoki wód nie krępowanych jeszcze żadnemi łożyskami, toczyły się ze wszystkich punktów ziemi, a zabierając w swym biegu z zaledwie ukształtowanych skał dostateczny materyał na wytworzenie łupku, piaskowca i wapienia, spływały na torfiejące lasy, znosząc obficie pierwiastki z których złożyć się miała w następstwie warstwa pokrywająca uprzednie pokłady roślinne. Z upływem czasu — a miarą czasu są tu miliony lat — warstwy ułożyły się, stwardniały i pod grubą powłoką z łupków, zbitego lub kruchego piaskowca, żwiru i krzemieni, zamknęły całą masę zagrzebanych lasów.

Cóż dziać się mogło w tym olbrzymim tyglu, w którym nagromadziła się taka masa ciał roślinnych, w niejednostajnej zanurzonych głębokości? Jak w prawdziwem laboratoryum odbywał się tam, w głębi ziemi, pewien rodzaj chemicznej dystylacyi. Wszystek kwas węglowy zawierający się w drzewach, skupiał się w jednę masę, i zwolna, pod podwójnym wpływem niezmiernego ciśnienia i wysokiej temperatury, wywołanej blizkiem sąsiedztwem ognia śródziemnego, zmieniał się w pokłady węglowe.

Tak więc, siłą powolnego lecz nieprzerwanego działania, następowała we wnętrzu ziemi zupełna reakcya. Królestwo roślinności ustępowało praw swych królestwu minerałów. Wszystkie rośliny owe żyjące niegdyś tak pełnem życiem, kamieniały. Niektóre z okazów tego bezmiernego zielnika, nie ze wszystkiem zmienione, pozostawiły ślady swoje na innych, wcześniej skamieniałych, a przytłaczających je jakby prasa hydrauliczna o niepodobnem do obliczenia ciśnieniu. Jednocześnie muszle, drobne zwierzątka morskie a nawet ryby i jaszczurki naniesione wodą, zostawiały na miękkim jeszcze węglu dokładne i wierne swe odbicia.*)

Siła ciśnienia, zdaje się, nie małą odgrywała rolę w formacyi pokładów węglowych; od niej bowiem zawisłą jest wartość różnych gatunków węgla, używanych w przemyśle. I tak, w najniższych warstwach pokładu, znajduje się antracyt, który jako najmniej posiadający cząstek lotnych, zawiera w sobie największą ilość węgla; kiedy przeciwnie, warstwy najwyższe, wydające lignit i drzewo kopalne, mieszczą w sobie bez porównania mniejszą ilość cząstek palnych. Pomiędzy zaś temi dwoma pokładami, w miarę większego lub mniejszego ciśnienia, napotykamy żyły grafitu i węgla mniej lub więcej jałowego. Można nawet prawie na pewno utrzymywać, że jedynie z braku dostatecznego ciśnienia, istniejące dotąd bagniska torfowe nie zamieniły się w pokłady węgla kamiennego.

Wszystkie zatem kopalnie węgla, bez względu na to w jakim punkcie ziemi znajdują się, powstały w jeden i ten sam sposób; a mianowicie, z lasów zapadłych w epoce formacyi geologicznej, a następnie skamieniałych pod wpływem ciśnienia przy jednoczesnem działaniu ogni wewnętrznych i kwasu węglowego.

Przyroda jednakże, tak rozrzutna zazwyczaj, nie zagrzebała tyle lasów, aby wystarczyć mogły

*) Wytłoczone odbicia ich znaleziono w kopalniach Saint-Etienne.

*) Wypada tu zresztą zauważyć, że wszystkie rośliny, których odbicia znajdują się w skamieniałościach, należą do gatunków, napotykanych dzisiaj jedynie w strefie równikowej. Można więc ztąd wnosić, że w owej epoce, na całej kuli ziemskiej panował ten sam stopień ciepła, czy to wskutek przypływających wód gorących, czy też działaniem ognia wewnętrznego, wydobywającego się na powierzchnię ziemi przez niedostatecznie zasklepioną jej skorupę. Okoliczność ta tłómaczy nam zarazem istnienie pokładów węglowych pod każdą szerokością geograficzną.

na lat tysiące. Nie ulega wątpliwości, iż przyjdzie chwila, w której węgla zabraknie i jeśli nie da się on zastąpić innem jakiem paliwem, wszystkie maszyny całego świata znajdą się w ostateczności przymusowego bezrobocia. W epoce mniej lub więcej odległej, pokłady węglowe istnieć może jeszcze będą jedynie tylko w Grenlandyi, pod pokrywą wieczystych lodów, gdzie eksploatacya ich jest prawie niemożliwą. Los to nieunikniony. Nadzwyczaj bogate kopalnie amerykańskie, w Kalifornii, Oregonie i w okolicach jeziora Słonego, zostaną wyczerpane; toż samo nastąpić musi z kopalniami na przylądku Bretońskim i Św. Wawrzyńca, w Pensylwanii, Wirginii, Illinois, w Indyanie i Missouri. Jakkolwiek bowiem pokłady węgla w Ameryce północnej dziesięćkroć przewyższają wydajnością swoją wszystkie kopalnie innych części świata, przed upływem jednak stu wieków, przemysł, ów potwór o milionie nienasyconych paszcz, pochłonie i zużyje do ostatniego kawałka cały zasób węgla ukryty w łonie naszego globu.

Rozumie się samo przez się, że brak węgla najprędzej da się uczuć na naszej półkuli. Jest wprawdzie dość jeszcze pokładów niezbędnego tego paliwa w Abisynii, Natal, Mozambiku i na Madagaskarze; ale eksploatacya ich połączona jest z największemi trudnościami. Pokłady w Birmanie, w Chinach, w Kochinchinie, w Japonii i Azyi środkowej dość wcześnie zostaną wyczerpane. Gdy Anglia zagrożona brakiem węgla w królestwach zjednoczonych, znajdzie jeszcze nader obfite pokłady w Australii, reszta Europy zmuszoną już będzie porzucić swoje kopalnie, nieznajdując w nich ani odrobiny paliwa.

Z następujących cyfr przekonać się można jaką ilość węgla spotrzebowano już od czasu odkrycia pierwszych jego pokładów. Kotliny węgla kamiennego w Rosyi, Saksonii i Bawaryi zajmują przestrzeń sześćkroćstutysięcy hektarów; hiszpańskie stopięćdziesiąt tysięcy. Kotliny w Belgii tejże samej również rozległości, długie na mil czterdzieści a szerokie na trzy, rozciągają się pod miejscowościami Liège, Namur, Mons i Charleroi. Kotlina francuska, mieszcząca się pomiędzy Loarą i Rodanem, jakoto: Rive de Gier, Saint-Etienne, Givors, Epinac, Blanzy, Creusot, Gard, Alais. Grand' Combe, Aveyron, Carmaux, Bassac, Graissessac, Anzin, Valenciennes, Lens, Bethune, obejmuje przestrzeni około trzykroć pięćdziesiąt tysięcy hektarów.

Krajem najbardziej obfitującym w węgiel jest bezwątpienia Wielka Brytania. Z wyjątkiem Irlandii, która prawie wcale nie posiada paliwa kopalnego, istnieją w Zjednoczonych królestwach niezmierne skarby węgla kamiennego, które wszakże jak wszystkie skarby wyczerpać się muszą. Pierwsze miejsce pod względem bogactwa żył, zajmują tam kopalnie w Newcastle, rozciągające się pod hrabstwem Northumberland i dostarczające corocznie do trzydziestu miljonów beczek węgla, to jest prawie trzecią część ilości zużywanej przez Anglią a przeszło dwa razy więcej aniżeli wynosi produkcya Francyi. Księstwo Walii, zatrudniające całą prawie ludność miejscową w kopalniach swych w Cardiff, Swansea i Newport, dostarcza rocznie dziesięć miljonów beczek węgla, wielce poszukiwanego i znanego w handlu pod nazwą „węgla walijskiego.“— W środku kraju znajdują się również znakomite chociaż już nie tyle wydajne kopalnie w hrabstwach York, Lancaster, Derby i Stafford. W Szkocyi wreszcie, pomiędzy Edymburgiem i Glasgowem rozciągają się pokłady węgla zaliczone do rzędu najbogatszych w całej Wielkiej Brytanii, ogólny zaś obszar kopalni węgla w królestwach Zjednoczonych obejmuje prawie milion sześć kroć stotysięcy hektarów, wydających rocznie do stu milionów beczek kamiennego paliwa.

Nic to jednak nie pomoże! Konsumcya węgla na potrzeby przemysłu i handlu wzmaga się z każdym dniem tak dalece, że wszystkie te bogactwa wyczerpać się muszą i jeszcze przed upływem trzeciego tysiącolecia chrześciańskiej ery, opróżnione zostaną owe podziemne śpichrze Europy, w których, jak wykazaliśmy powyżej, skupiło się niejako ciepło słoneczne z epoki pierwotnej *)

Otóż w epoce właśnie, w której rozpoczyna się nasze opowiadanie, jedna z najważniejszych kopalni szkockich, była już zupełnie wyczerpaną, skutkiem zbyt pospiesznej eksploatacyi. Nadmienić tu jeszcze wypada, że kopalnia Aberfoyle, zostająca od lat wielu pod zarządem inżyniera Starr, zajmowała przestrzeń dziesięciu do dwunastu mil **) pomiędzy Glasgowem i Edymburgiem, w zakątku Szkocyi oblanym dwoma morzami, najbardziej sprzyjającym rozwojowi przemysłu górniczego.

Wspomnieliśmy już, że od lat dziesięciu kopalnia musiała być opuszczoną. Pomimo że sondowanie doprowadzono do głębokości tysiąca pięciuset a nawet dwóch tysięcy stóp, nie zdołano odkryć nowych pokładów, i inżynier Starr usunął się z głębokiem przekonaniem, że wszystkie istniejące żyły wyeksplotowane zostały aż do ostatniego kawałka węgla.

Przy takich warunkach, aż nadto jest widocznem, jak ważnem byłoby odkrycie nowych pokładów węglowych. Czy wiadomość zapowiedziana przez Szymona Forda, miała związek z podobnem odkryciem? Oto pytanie jakie zadawał sobie bezprzestannie inżynier, a nie mając nań żadnej odpowiedzi, pocieszał się nadzieją, że musi być tak a nie inaczej.

Łudząc się miłem marzeniem, doszedł wreszcie do przekonania, że wzywają go jedynie po to, aby objął w posiadanie nowy bogaty zakątek Czarnych Indyi.

Na jednę chwilę tylko zawahał się po przeczytaniu drugiego listu; teraz jednak zapomniał już o nim zupełnie: syn starego obermana czekał na umówionem miejscu, list bezimienny więc nie miał już żadnej w jego oczach wartości.

Podczas gdy inżynier wysiadał z wagonu, młody człowiek podszedł ku niemu.

— Jesteś Henryk Ford? — zapytał go pośpiesznie pan Starr.

— Tak jest, panie inżynierze.

— Nie byłbym cię poznał nigdy. Bo też przez te dziesięć lat wyrosłeś na dzielnego mężczyznę.

— Ja poznałem pana od razu — odpowiedział młody górnik, trzymając kapelusz w ręku. Nic się pan nie zmienił od owego dnia, w którym pocałowałeś mnie pan przy pożegnaniu w komorze Dochart. Takie rzeczy pamiętają się całe życie!

— Nakryj głowę, Henryku; deszcz leje jak z cebra, a grzeczności nie należy posuwać aż do narażania się na katar.

— Może pan życzy sobie schronić się przed deszczem?

— Nie, Henryku, nie mamy czasu do stracenia. Zresztą deszcz ten będzie padał przez cały dzień, a mnie pilno. Chodźmy zaraz.

— Jestem na pańskie rozkazy.

— Powiedz mi, Henryku, jak się ma twój ojciec?

— Dziękuję panu, bardzo dobrze.

— A matka?

— I matka zdrowa zupełnie.

— Czy to twój ojciec pisał do mnie, żebym przybył do szybu Yarow?

— Nie, panie, to ja pisałem.

— Ah! więc Szymon napisał drugi list, odwołujący tę schadzkę? — zapytał inżynier z widocznym niepokojem.

— Ojciec mój nic nie pisał — odpowiedział młody górnik.

— To dobrze — zakończył inżynier i już nie wspominał o bezimiennym liście.

Po chwili zagadnął znowu:

— Czy możesz mnie objaśnić czego chce odemnie stary Szymon?

— Ojciec mój pragnie sam udzielić panu inżynierowi tę wiadomość.

— Ale ty wiesz o co idzie?

— Wiem.

— W takim razie nie będę cię już więcej badał. Dalej w drogę, bo mi pilno rozmówić się z Szymonem. Ale prawda, gdzież mieszkacie?

— W kopalni.

— Jakto! w komorze Dochart?

— Tak jest, panie inżynierze.

— Czy podobna! Jakto! i nie wydalaliście się ze starej kopalni od czasu zamknięcia robót?

— Ani na dzień jeden. Pan znasz mojego ojca: tam się urodził i tam chce umrzeć.

— Pojmuję to, Henryku... pojmuję!... Kopalnia jest jego gniazdem rodzinnem... nie chce więc jej porzucić! — I dobrze wam tam jest?

— Bardzo dobrze panie inżynierze, bo kochamy się wzajemnie i potrzeby nasze są nader ograniczone.

— To pięknie, mój Henryku — rzekł wzruszony inżynier. — A teraz chodźmy już!

Młody człowiek przeprowadził gościa przez ulice miasteczka Callander.

W kilkanaście minut byli już po za miastem. (C. d. n.)

*) Najnowsze obliczenia, oparte na ilości spotrzebowanego węgla kamiennego wykazują, iż kopalnie tego nieoszacowanego paliwa wyczerpane zostaną:

| | | |
|---|---|---|
| we Francyi | w ciągu | 1·140 lat. |
| w Anglii | „ | 800 „ |
| w Belgii | „ | 750 „ |
| w Niemczech | „ | 300 „ |

Kopalnie amerykańskie, licząc konsumcyą węgla na 500 milionów beczek rocznie, wystarczyć jeszcze mogą na 6.000 lat.

**) Angielskich.

---

# O twórczości poetyckiej

przez

**Juliana Ochorowicza.**

*(Ciąg dalszy).*

**W ustępie tym poeta wziął za symbol moralnej pracy Chrystusa, fizyczną pracę żniwiarza, który zbiera swe dojrzałe kłosy, za symbol duchowego przewodnictwa ku doskonałości, uzmysłowioną drogę przez niebiosy, i wreszcie pojęciowy wyraz znikomości stworzenia wobec Boga, zastąpił obrazem zmysłowym, w którym Chrystus „wysypuje ze swej szaty, jednostki, narody i światy.“**

*

Widzimy jak wiele poeta za pomocą tych kilku wierszy osiągnął. Zamieniwszy język pojęć na język wyobrażeń, nietylko jaśniej przedstawił swą myśl, chociaż jej wcale w słowach nie wyraził, ale nadto przez skupienie wyobrażeń rozległych przedmiotów (narody i światy) w drobnym obrazku brania w połę i wysypywania przed obliczem Boga osiągnął cel podwójny: obudził w nas z jednej strony poczucie wielkości boskiego dzieła, z drugiej poczucie małości rzeczy ludzkich i widzialnych ogromów, wobec Boga.

Im więcej jasnych pojęć i wyrazistych a sympatycznych uczuć autor w duszy czytelnika obudzi, tym silniejsze uczyni na nim wrażenie. Urok zaś tego wrażenia polega właśnie na tem, że autor nie wypowiada wprost myśli, któreby tylko biernie czytelnik przejmować musiał, lecz że owszem rozbudza różne władze duszy, zmuszając je do ożywionej a jednak niemęczącej pracy—do odczucia duchowej treści symbolów. Dla tego to mówimy, że czytając dzieła wielkich poetów możemy w nich coraz to nowe odkrywać piękności, pozwalając ich symbolom poetycznym wywoływać i rozbudzać coraz to nowe łańcuchy myśli, uczuć i wspomnień. Ażeby się zaś przekonać jak wiele takiej treści może poeta zakląć w kilku wierszach, zastanówmy się nad jednym z najpiękniejszych sonetów Mickiewicza: „Stepy Akermanu.“ Poeta szkicuje nam barwistemi słowy, cichy stepowy krajobraz i zdaje się zrazu nie mieć innego celu prócz opisu; ale w miarę czytania zaczynamy uczuwać, że to nie jest prosty opis — że tam jest nierównie więcej myśli i uczuć, utajonych tylko pod przejrzystą gazą obrazu:

Wpłynąłem na cichego przestwór oceanu —
Wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi,
Wśród fali łąk szumiących, śród kwiatów powodzi
Omija koralowe ostrowy burzanu.

Już zmrok zapada — nigdzie drogi ni kurhanu;
Patrzę w niebo, gwiazd szukam, przewodniczek łodzi:
Tam zdala błyszczy obłok, tam jutrzenka wschodzi,
To błyszczy Dniestr, to weszła lampa Akermanu!

Stójmy!... Jak cicho! Słyszę ciągnące żórawie
Którychby nie dościgły źrenice sokoła;
Słyszę kędy się motyl kołysze na trawie,

Kędy wąż śliską piersią dotyka się zioła...
W takiej ciszy tak ucho wytężam ciekawie,
Że słyszałbym głos z Litwy... Jedźmy, nikt nie woła!

Oczekiwanie głosu z Litwy na stepach akermańskich jest niedorzecznością, jeśli uważać je będziemy ze stanowiska zewnętrznego prawdopodobieństwa. Ale też poezya na takiej prawdzie poprzestawać nie może, a często nawet musi jej być niewierną. Niewierność tę zawdzięcza fantazyi. Ale z drugiej strony gdyby fantazya tylko to zrobiła, że wyłamała się z pod prawideł zewnętrznych zależności — toby jeszcze przez to nic poetycznego nie stworzyła. Poezya leży tu nie w lekceważeniu prawdy zewnętrznej, ale w potężnem uwydatnieniu prawdy wewnętrznej, psychologicznej. Zobaczmy tylko, ile w tych kilku wierszach autor umiał zrobić:

1. Dał nam poznać piękności obcej strony.
2. Dał dowód siły swego rodzinnego uczucia.
3. I nareszcie uwydatnił kontrast pomiędzy swem gorącem pragnieniem a rzeczywistością: „jedźmy, nikt nie woła!“

Każdy z tych tematów wystarcza sam przez się do wywołania efektu artystycznego — jakże więc nie mamy odczuć piękności utworu, który w kilku wierszach tak wiele treści poetycznej zawiera?

A może.. może tam jest jeszcze więcej zaklętego uroku, niż powyżej wskazałem — uroku, któremu tajemną siłę daje nierównie jeszcze głębsza i szersza prawda psychologiczna?

Nie jestże bowiem ten misterny układ motywów odbiciem całej roli jaką poezya wobec rzeczywistości odgrywa?

Te stepy Akermanu — to droga naszego życia — droga przeplatana „kwiatami“ i „koralowemi ostrowami burzanu,“ które ludzą, ale które omijać potrzeba. Nigdzie wyraźnego gościńca ni kurhanu; podróżny wznosi oczy ku niebu, szukając przewodniego światła gwiazd lub blasku jutrzenki. A tymczasem w około cicho i pusto; tylko to co żyje obojętnie bieży swoją drogą, żurawie ciągną po niebie, płochy motyl kołysze się na trawie, a chytry wąż śliską swą piersią rozsuwa wonne zioła... To wszystko życie rzeczywiste. Ale w piersi podróżnego budzi się tęsknota za czemś lepszem — wytęża ucho, by w tej ciszy usłyszeć coś więcej niż obecną rzeczywistość, by usłyszyć echo z drogiej krainy wspomnień; staje się poetą, żąda od życia czegoś więcej, niż ono dać może, z bijącem sercem wstrzymuje się na drodze swojej, słucha, i po chwili... odczuwa przepaść, jaka dzieli jego fantazyą od rzeczywistości, czuje, że musi dalej iść w świat bez tych złudzeń... „Jedźmy. Nikt nie woła!“

* * *

Jakimże sposobem poeta tak wiele efektów nagromadza, tak wiele treści pod obrazy swe podkłada? Czy on to wszystko świadomie obmyślać potrzebuje? Bynajmniej; poeta nie jest w możności przewidzenia tego wszystkiego co słowa jego w duszy czytelnika obudzą; a nieraz nawet budzą one myśli zupełnie obce jego własnym intencyom. Widocznie więc udział świadomej rozwagi nie stanowi jeszcze o całej twórczości; poeta nie zastanawia się nad wszystkiemi wyrazami i zwrotami jakich w pisaniu używa, on tylko przejmuje się przedmiotem, uprzytomnia sobie punkta główne, a resztę zrobi za niego — fantazya.

Fantazya — to właściwe imię siły, bez której nie byłoby poezyi. Nie pomoże wrażliwość, nie pomoże żywa pamięć, nie wystarczy poczucie estetyczne i współczucie psychologiczne, gdy brak fantazyi. Wszystko co z pominięciem fantazyi przemawia tylko do uczucia albo tylko do rozumu, będzie kantyczką, rozprawą albo kazaniem, ale niekoniecznie jeszcze poezyą. Ona to wprowadza do sztuki ten pierwiastek nadzmysłowy, ten pierwiastek prawdziwie poetycki, który jej nadaje lotność, bujność i eteryczność. Jeśli mamy wierzyć poetom, czasy czarów i zaklęć nie minęły jeszcze. Istnieje bowiem dotychczas „najpotężniejsza z czarodziejek ziemi.“ W szacie z blasków i barw zachodzącego słońca, z gwiazdą srebrzystą na czole, rozsypuje ona dokoła siebie promienie uroków, którym dusza ludzka z rozkoszą ulega:

Do niej szalenie drży młodość radosna,
Z nią się nadzieja wiecznie zaprzyjaźnia,
U niej poezya tę czuje swe krosna!
— Tą czarodziejką cóż jest? — *Wyobraźnia.*

Wyobraźnia ta, a ściślej mówiąc *fantazya*, posiada najpotężniejsze na ziemi magiczne zwierciadło, w którem

co kto pragnie, ujrzy za kryształem:
Skarby co nigdy nie giną; sumienia
Co nigdy drogą nie zdążają błędną;
Serca, gdzie stałość nigdy się nie zmienia,
Róże i laury, co nigdy nie więdną;
I wszystko, wszystko co jest doskonałem,
Bo to źwierciadło zwie się: *ideałem!*
(Deotyma.)

To czego nam dostarczają *wrażliwość i pamięć*, to tylko kamyczki kolorowe do tej mozajki duchowej, którą fantazya układa. Skądżeby powstała *Boska i Nieboska komedya, Dziady, Anhelli, Irydion* i tyle innych utworów poetyckich, gdyby nie ten cudowny dar fantazyi, mocą którego ten nasz „świat rzeczywisty, tysiąc innych rodzi?“

Przypatrzmyż się bliżej tej potędze.

Jeżeli pamięć jest martwą wyobraźnią, to fantazya jest wyobraźnią w stanie czynnym. Wrażenia pochodzące z otoczenia, od przyrody, od ludzi, od książek, z własnych przejść wreszcie, pozostają w umyśle pod postacią wyobrażeń, zawsze powiązanych ze sobą, zawsze zlewających się częściowo, już to na zasadzie tego, że współcześnie powstały, już też że miały w sobie jakieś pierwiastki wspólne, czy w prostem podobieństwie czy w kontraście. Gdyby cały ten bogaty materyał pozostawał w umyśle tak jak powstał, mielibyśmy wierną pamięć i zdolność żywego przedstawiania sobie wrażeń dawniejszych — nic więcej. Lecz nowe wpływy, nowe wrażenia wciskają się między ogniwa dawnych, przyłączają się do nich, zlewają, rozrywają i przemieszczają ogniwa — a w tej ruchliwej czynności pomagają im i wpływy wewnętrznych uczuciowych pobudzeń i wreszcie sama lotna natura wyobrażeń, z których żadne nie może trwać czas dłuższy bez zmiany, lecz musi słabnąć, zacierać się, mieszać z innemi, jeśli go pierwotna pobudka zmysłowa na nowo nie ożywi i nie wyosobni. Ztąd to powstaje owa bezustanna gra wyobrażeń, którą nazywamy *fantazyą senną*, jeśli się odbywa całkiem luźnie i bezładnie — a *fantazyą poetycką*, jeśli kombinacyom przewodniczy jeden układ główny, jedna nić przewodnia — rozumowa. Fantazya więc poetycka będzie stała pośrodku między myśleniem sennem czyli marzeniem — a myśleniem ścisłem czyli rozumowaniem. Różni je tylko stosunek wyobrażeń do pojęć, obrazów do wyrazów, różny stopień szybkości, różna łatwość zmian i różny stosunek do rzeczywistości. Fantazya senna bowiem miesza i przekształca rzeczy tak, że odbiera im wszelki prawidłowy układ zależności w czasie i przestrzeni, tymczasem fantazya poetycka układu tego naturalnego nie niweczy, nadaje mu tylko inny charakter. To co poeta w życiu doświadczył wplata się jako treść do jego obrazów, przyczem jednak nie ma chaosu, tak jak w czysto sennem następstwie wyobrażeń, lecz jest jak gdyby skupianie się żelaznych okruchów życia około magnesu, którym jest panująca postać, idea, uczucie. (C. d. n)

# Wojna na morzu.

Sztuka niszczenia doszła w ostatnich czasach do nadzwyczajnego stopnia rozwoju; mieliśmy tego przykłady w niedawnych wojnach, a i obecna walka na wschodzie da zapewne

jeszcze jaskrawsze dowody. Wszak minęło już lat kilka od wielkiej ostatniej wojny, a kilka lat pod koniec dziewiętnastego wieku znaczy w postępie wynalazków tyle, co dawniej całe wieki. Zresztą, chwila jeszcze, a usłyszymy o „cudownem“ działaniu kartaczownic, nowych systemów karabinowych, armat dalekonośnych itp.

Lecz te wszystkie udoskonalenia broni lądowej nikną w porównaniu z tem, co przygotowano do walczenia na morzu. Geniusz wynalazców jakby się wysilał dla stworzenia nowych środków zniszczenia, które oprócz straszliwej doskonałości pod tym względem i pod względem swej doskonałości mechanicznej, uważane być muszą za arcydzieła rozumu ludzkiego.

Jest dziwna ironia w tem zestawieniu. Arcydzieła rozumu i arcydzieła pod względem niszczenia bliźnich! I nic dziwnego, że tak się dzieje, bo najpożyteczniejszy wynalazek pokojowy, najdoskonalsza machina walczyć muszą długo z różnemi przeszkodami zanim wejdą w życie, a tymczasem o broń nową ubiegają się wszystkie rządy, wynalazcę obsypują złotem, imię jego powtarzają usta całych wdzięcznych narodów.... Homo homini lupus!

Żeby sobie zrobić pojęcie jak walka morska obecnie wyglądać może, cofnijmy się wstecz i rzućmy okiem na rozwój okrętów wojennych i broni morskiej. W dawnych czasach okręty były drewniane i niczem niebronione od kul nieprzyjacielskich. Były wprawdzie próby obijania ścian ołowiem (wyprawa Karola V na Tunis), lecz nie doczekały się one obszerniejszego zastosowania. Pierwszy projekt fregaty opancerzonej wyszedł od pana Dupuy de Lome w r. 1845. Od tego czasu zaczyna się zacięta walka między armatą a pancerzem. Im grubsze budowano ściany pancerników, tem potężniejsze odlewano lub kuto armaty. Dziś ta walka jest prawie u szczytu i już niepodobna, jak się zdaje, robić ścian grubszych i rzucać cięższych pocisków. Okręty stały się tak ciężkiemi, że trochę więcej, a niemożliwemby się stało ich manewrowanie. Jedna wielka burza, a zaledwie się trzymający na powierzchni wody statek, może stać się ofiarą morza i na nic miliony wyłożone na jego budowę. To też widać, że postępowanie w tym kierunku doszło do punktu kulminacyjnego i znać już zwrot w marynarkach całego świata. Okręty małe, kanonierki zwinne i żwawe, zaczynają przeważać nad potężnemi pancernikami; lecz o tem później.

Opis paru nowszych dział wielkiego kalibru wystarczy do zrobienia sobie pojęcia, do jakich rozmiarów dochodzą te narzędzia zniszczenia. Przed kilku miesiącami ukończono w Woolwich działo, według systemu pana Roberta Frasera. Waży ono około 160.000 funtów. Jednakże zaraz po pierwszych próbach okazało się, że trzeba w tym dziale wprowadzić kilka zmian nowych, i dopiero na początku bieżącego miesiąca robiono próby ostateczne w Shoeburyness. Strzelano tam do celu, który był w następujący sposób zbudowany: Ustawiono pionowo jedna za drugą cztery płyty walcowanego najlepszego żelaza, z których każda miała 8 cali grubości. Pomiędzy temi płytami ustawiono trzy warstwy pięciocalowe najtwardszego drzewa. Cel więc składał się z siedmiu warstw żelaza i drzewa następujących po sobie na przemian. Te 32 cale żelazne i 15 drewniane były ześrubowane bardzo mocno za pomocą śrub trzech-calowych. Wszystko to było tak mocno i niewzruszalnie ustawione, jak tylko sztuka inżenierska na to pozwalała. Aby cel jeszcze bardziej zabezpieczyć, przybito płyty żelazne u góry i z boków i podparto go z boku i z tyłu potężnemi podporami.

W odległości stóp 360 od tego celu ustawiono działo. Laweta jego mogła się poruszać po krótkim torze kolejowym, nieco się z tyłu w górę podnoszącym. Włożono nabój 425 funtów prochu i pocisk ważący 1.700 funtów, i wypalono za pomocą iskry elektrycznej. Działo odskoczyło w tył i pojechało 55 stóp po szynach kolejowych do góry; następnie zbiegło na dół do miejsca wystrzału. Pocisk nie tylko że przebił pierwsze trzy warstwy żelaza i pokłady drzewa, lecz też odepchnął na 15 cali w tył płytę ostatnią, która pękła w poprzek i rozwarła się tak, że było widać kulę wystającą. W całości kula przebiła warstwę 47 mio-calową i połamała wszelkie podpory umieszczone za celem. Pocisk biegł z początku z chyżością 1.600 stóp na sekundę, a w chwili uderzenia 1.585. Średnie ciśnienie gazów na działo wynosiło 40.000 funtów.

Krupp zbudował działo równie potężne jak to, któreśmy wyżej opisali. Działo Frazera zbudowane było z żelaza kutego, a Kruppa, z jego sławnej lanej stali. Ważną zaletą działa pruskiego jest to, że jest odtylcowe. Nowe to działo ma 29 i pół stóp długości, a średnica pocisku wynosi cali $15^3/_4$. Pocisk ten waży 1.650 funtów i trzeba 396 funtów prochu do jego wyrzucenia. Działo u swego tylnego końca ma na zewnątrz średnicę równą wysokości człowieka bardzo wysokiego. Wynosi ona 5 stóp i 10 cali. U przodu średnica ma 2 stopy i 3 i pół cale.

Działo składa się właściwie z jednej rury owiniętej pierścieniami, których ilość coraz się zwiększa, idąc w kierunku od przodu ku tyłowi. Ciężar całego działa wynosi około 160,000 funtów. Pocisk wylatuje z szybkością 1,552 stóp na sekundę. Lecz jeszcze to nie jest ostatnie słowo Kruppa. Przygotował on projekt nowego działa, które ma ważyć 250,000 funtów i czeka tylko na zamówienie któregokolwiek rządu. Działo to ma być zrobione według dawnych Kruppowskich wzorów. Pocisk będzie miał 18 cali w średnicy i będzie ważył więcej niż 2,000 funtów! Trzeba będzie 500 funtów prochu do jednego wystrzału.

Te kilka cyfr wystarczają do zrobienia sobie pojęcia o potędze nowej artyleryi.

Oddawna używano na lądzie min, podkopów i innych forteli przy zdobywaniu fortec lub ich bronieniu. Taktykę tę przeniesiono obecnie i na pole walki morskiej. Od pewnego czasu weszły w użycie torpedy, których działanie wszystkim jest znane. Dzielą się one na dwa rodzaje: stałe i zaczepne. Pierwsze od dość dawna już są używane, drugie są zdobyczą lat paru ostatnich i nie są jeszcze na polu walki wypróbowane.

Torpedy stałe służą do obrony brzegów. Są to cylindry żelazne napełnione materyą wybuchającą, prochem, bawełną strzelniczą lub też dynamitem. Używają ich w sposób bardzo rozmaity.

Najprostszy z nich jest następujący: torpedy układają się w pewnych odstępach na dnie morza, w bliskości brzegu; od każdej idzie w górę drążek prawie do samej powierzchni wody. Skoro się zbliży okręt nieprzyjacielski i uderzy o ten drążek, wybucha od uderzenia przeniesionego przez drążek, zapalnik, a od niego i cały nabój torpedowy. Następuje katastrofa dla okrętu; olbrzymia masa wody wylatuje w górę z przerażającą siłą, porywa z sobą okręt i druzgocze go w powietrzu.

Ten sposób zakładania torped okazał się jednak w wielu razach niepraktycznym. Nie było bezpieczeństwa dla własnych statków, które koło brzegów pływać musiały, to też zastosowano niedługo nowy sposób, który kierowanie wybuchem torped oddawał w ręce oficerów na wybrzeżu się znajdujących. Każda na dno zapuszczona torpeda połączoną była ze stacyą drutem elektrycznym. Skoro okręt nieprzyjacielski wpłynął po nad torpedę, oficer przyciskał na stacyi torpedowej guzik, prąd przebiegał po drucie do torpedy, rozpalał tam drucik platynowy, który z kolei zapalał nabój. Stacye torpedowe urządzano w sposób następujący.

Na mapie odpowiednio wykreślonej, w stałem miejscu znajdującej się, czarnemi punkcikami oznaczone są miejsca, w których spoczywają na dnie torpedy. Wielka ciemnia (camera obscura) rzuca na tę mapę, jak na ekran, obraz powierzchni morza, razem z okrętami. Widzi się jak w ciemni używanej przez fotografów, wszystkie szczegóły widoku. Skoro na obrazku okręt posuwając się, stanie na czarnym punkcie oznaczającym torpedę, oficer pilnujący naciska guzik, przesyła po drucie prąd elektryczny do torpedy i następuje wybuch.

Lecz i to urządzenie nie jest pewnem; nieprzyjaciel zbliżający się do brzegu, ma i na to środki. Wysyła naprzód łodzie i nurków, którzy wyszukują na dnie torpedy, przecinają druty ze stacyą je łączące i czynią nieszkodliwemi. Nie zawsze się to udaje i wpada się nieraz mimo wszelkich ostrożności w łapkę, jednak w każdym razie, jest to środek zmniejszający doniosłość tych stałych torped. (C. d. n.)

---

## TYDZIEŃ LWOWSKI.

### XIX.

Wycieczki i festyny zaczynają się udawać! Nie do uwierzenia a jednak prawdziwe — deszcz przez cały tydzień nie padał, i nietylko nikt nie zmarzł na ulicy ale owszem mógł się spalić na węgiel. Niech więc żyje czerwiec, niech żyją *czerwcówki!* Niedzielny festyn Towarzystwa Harmonii na strzelnicy, sprowadził tłumy oddawna łaknące letniej rozrywki i trzeba przyznać nie zawiódł ogólnych oczekiwań; oprócz bowiem innych przyjemności dał nam poznać, wielce obiecującą młodziana orkiestrę miejską, której gra zjednała gorące oklaski należące się nietylko młodym artystom ale także panom profesorom i dyrektorowi Markowi, który ulubiony swój projekt z takiem powodzeniem do skutku doprowadził. Tegoż dnia odbyła się odłożona z zeszłego tygodnia wycieczka do tunelu Łupkowskiego ku ogólnemu zadowoleniu uczestników. Z naszej strony brało udział około 500 osób, Węgrów zaś przybyło około 400. Okrzykom „Eljen!“ i „Niech żyją!“ nie było końca. Kapela cygańska grała „Boże coś Polskę“ nasza zaś marsz Rakoczego itd. na przemiany. Wieńce kwiatów i chorągwi narodowych węgierskich i polskich witały gości na każdej stacyi a za przybyciem do Mezö-Laborcz rozpoczęła się uczta polowa przerywana toastami i okrzykami, a zakończona mazurem i czardaszem na wspaniałej murawie. O zmroku zajaśniały światła na drzewach i górach wśród dzwięków narodowych „Jeszcze Polska nie zgi-

nęła“ „Tysiąc walecznych“ i „Węgier Polak dwa bratanki“. Jednem słowem daliśmy nowy dowód, że umiemy na równi z Węgrami, pić, spiewać i sejmikować; w potrzebie okazałoby się, że i bić się niegorzej umiemy, jednej wszakże rzeczy moglibyśmy się jeszcze od Węgrów nauczyć: *trochę trzeźwiejszej polityki*. A oni... oni mogliby się jednej rzeczy oduczyć — mianowicie *gnębienia Słowaków*, które wcale nie licuje z toastami na cześć narodowej wolności.

* * *

I znowu, wieko trumny, zamknęło się nad jednym z zacnych pracowników niwy literackiej... *Karol Świdziński*, poeta, żołnierz z r. 1863 profesor szkoły polskiej w Batignolles, pułkownik wojsk francuskich z czasów inwazyi pruskiej, zmarł po długich i ciężkich cierpieniach, w dniu 4 b. m. Jako poeta, oddarzony niepospolitą siłą i obrazowością stylu, brał udział w wielu pismach literackich, jak w „Mrówce“, „Strzesze“, „Tygodniku Wielkopolskim“ i w kilku czasopismach warszawskich. Znany jego wiersz „Do pracy“, stał się niemal hasłem młodzieży warszawskiej i zniewolił dla *Świdzińskiego* serca wszystkich co idą z postępem a imieniowi jego szeroki dał rozgłos. Jako żołnierz w powstaniu z r. 1863 dobrze i zaszczytnie spłacił dług swej ojczyźnie; jako nauczyciel biednych dzieci emigrantów zjednał sobie wysoką wdzięczność i poważanie... Jako wreszcie Polak, kochający wolność nad wszystkie powaby świata, poszedł walczyć za wolność Francyi, a następnie w strasznych dniach komuny paryskiej, stał obok szwagra swego jenerała *Dąbrowskiego* i obok niego, padł ciężko ranny. Po wyleczeniu się z ran przybył do kraju przed pięciu laty. Pracował tu, jako przedsiębiorca przy trasowaniu linii kolei żelaznej w Stanisławowie, tam się ożenił, i tam, po krótkiem pożyciu małżeńskiem, po krótkim odpoczynku po ciężkiej pracy, po strasznem łamaniu się z losem i przeciwnościami, zasnął na wieki. Pokój tobie zacny pracowniku!

* * *

Zbliża się pora wyjazdu na wieś, do wód mineralnych i miejsc kąpielowych. Tysiące osób rozporządzających czasem jedzie na świeże powietrze; słabi jadą szukać pomocy środków leczniczych, które sama przyroda dostarcza. Źródła lecznicze w które nasza prowincya tak jest bogatą niedługo się ożywią; Szczawnica, Krynica, Iwonicz i inne roić się będą gośćmi z całej naszej ziemi. Dawniejsza moda jeżdżenia do dalekich i drogich wód zagranicznych straciła już wiele na popularności i z prawdziwą radością widzimy rok rocznie wzrastającą liczbę gości w naszych własnych zakładach.

Miasto nasze posiada w okolicy swej, rzec można prawie na przedmieściu źródło, które pod względem swej siły leczniczej godne jest zająć jedno z miejsc najpierwszych. Mówimy tu o Lubieniu odległym od Lwowa o 3 mile. Zwiedziliśmy to miejsce przed paru dniami a niedługo pojedziemy tam raz jeszcze z wycieczką Towarzystwa przyrodników imienia Kopernika. Dziwna rzecz, że przez lat wiele, tak znakomite źródło, znajdujące się w tak szczęśliwych warunkach pod względem odległości od wielkiego miasta, było najzupełniej zaniedbane. Wszyscy obawiali się tam jechać z powodu drożyzny, niewygód i innych przykrości. Kto zwiedzi Lubień obecnie nie poznałby go, tak się różni od Lubienia dawniejszego; nowy zarząd wziął się energicznie do reform, które przeprowadzone zostały według wskazówek komisyi balneologicznej; przebudowano łazienki, pozwalano stare rudery w parku i śladu już po nich niema. Park oczyszczono i wyprowadzono po za jego obręb przykro woniejące strumienie, na Wereszczycy urządzono zimne kąpiele i w ogóle przyprowadzono Lubień do stanu, który wróży mu świetną przyszłość.

Wrócimy jeszcze raz do tego przedmiotu pisząc sprawozdanie z wycieczki Towarzystwa przyrodników, która ma się odbyć w przyszłą niedzielę.

* * *

We wstępnym artykule dzisiejszego numeru daliśmy odprawę autorowi fejletonu o emigracyi, zamieszczonego w Gazecie Narodowej. W zakończeniu artykułu naszego uczyniliśmy zarzut redakcyi, że zbyt gościnnie otwarła wrota owemu fejletonowi, który na zupełnie fałszywych podstawach czyni krajowi naszemu niezasłużone a więcz go poniżające zarzuty. Miło nam skonstatować, iż redakcya Gazety w numerze 128 z d. 7go b. m. wyparła się solennie fejletonu tego, przyznając otwarcie, iż zamieściła go tylko z gościnności i prostując błędne jego twierdzenia. Tem samem odpada zarzut uczyniony przez nas, redakcyi, która dzisiaj swym artykułem zupełnie błąd swój naprawiła. Czy jednak nie byłoby lepiej nie dawać przystępu artykułom, z przekonaniem redakcyi i z prawdą niezgodnym, zamiast je potem odwoływać? na to pytanie długoletnie doświadczenie redakcyi Gazety powinno już było dać jej odpowiedź. Przy tej sposobności wspominamy, że pojawiła się ostatniemi czasy prawdziwa powódź broszur politycznych, obracających się około kwestyi wschodniej i naszego w niej stanowiska. Wspomnimy o nich obszerniej w następnym numerze „Tygodnia“ w rubryce Pismiennictwo polskie.

---

## TEATR.

(„Śmierć Iwana Groźnego,“ tragedya w pięciu aktach hr. Tolstoja.)

Dzięki p. Rychterowi, który zakończył już gościnne swe występy w naszem mieście, ujrzeliśmy najlepsze kreacye jego olbrzymiego talentu, dawniej już znane, a nadto nową, świetnie opracowaną rolę Iwana w tragedyi Tolstoja. Niepospolity ten utwór z trylogii rossyjskiego dramaturga, nie przedstawia zwykłych warunków powierzchownego powodzenia. Scen zmysłowo tragicznych nie posiada, nikogo tam na scenie nie mordują, nikogo namiętnie nie kochają, miłości nie ma nawet wcale — sympatycznych postaci bardzo mało, a kulminacyjny punkt akcyi jest z góry przez tytuł zapowiedziany — jednem słowem nie ma ten utwór tego wszystkiego, co chwyta i szarpie za serce, pociąga lub oburza, i najbardziej nerwowy widz nie zapłacze nad losami bohatera, ani też żadnej z drugorzędnych figur nie odda całej swej sympatyi. A jednak... jakże tam wiele treści dla myślącego widza i słuchacza, jakie świetne efekta *rozumowe*, jaka konsekwencya typów, jaka wreszcie prawda dziejowa obok artystycznego obrobienia szczegółów! Dwie główne osobistości: Iwan upadający i Borys wstępujący na wyżyny — to najkunsztowniejsze posągi ludzkiej potęgi i ludzkiej słabości, w których ręka artysty uczyniła prawdziwem to, co w historyi nieprawdopodobnem się zdało. W Iwanie misterne połączenie dumnej potęgi i uniżonej podłości — w Borysie szlachetnej energii i tyrańskich instynktów, wzrastających w miarę zdobywania władzy — wszystko to materyał do świetnych ról dla wielkich artystów. P. Rychter w swojej roli stanął na wysokości zadania. Jego charakteryzacya, jego przejścia mimiczne i głosowe z jednej skali uczuć do drugiej, były arcydziełem pracy i talentu. Z postaci tej wiała ponura groza obok głębokiej prawdy i jeśli cały ten dramat oparty na kolizyi między siłą ludzkiej woli a siłą nieubłaganego przeznaczenia, przejmuje na wskróś umysł widza przywykłego do myślenia na temat ukrytych sprężyn, których grę widzi przed sobą — to wzruszenie to, nie zmysłowe ale filozoficzne zawdzięczać musi potężnej grze Rychtera. Nie spodziewaliśmy się, ażeby wielki artysta, który w komiczno - charakterystycznych rolach „Pana Jowialskiego“ i „Wujaszka całego świata“ pobudzał całą salę do homerycznego śmiechu, mógł się zdobyć na tyle siły tragicznej w roli dzikiego Iwana! Na nieszczęście jednak inne role dramatu wyszły albo nieodpowiednio, albo nawet tak haniebnie, jak większa część rady bojarskiej, że i główna rola musiała na tem ucierpieć. P. Woleński grał starannie, ale nie dość konsekwentnie. Borys w pierwszych aktach miał zanadto wiele szlachetności i wskutek tego przejście do dzikiej samowoli zupełnie nie było usprawiedliwione. Pomijamy inne role nie mając dość miejsca na wymotywowanie zarzutów i wolimy raczej zakończyć podziękowaniem dla dyrekcyi za poznajomienie nas z głębokim tym utworem, którego autor, w scenie z posłem polskim dał dowód, że kocha nietylko prawdę, ale i wolność. Mało który dramat, tej co ten wartości, wywołał mniej oklasków, ale też mało który obudził tak wiele myśli i uczuć, tak wiele dysput towarzyskich między tymi, którzy go po ujrzeniu na scenie jeszcze raz rozpatrzyli i rozważyli.

---

## TYDZIEŃ WARSZAWSKI.

X.

Rossi pożegnał Warszawę bardzo serdecznym listem do p. prezesa Muchanowa, w którym „nie znajduje słów na podziękowanie“ dyrekcyi, artystom, prassie i „inteligentnej publiczności warszawskiej.“ Dodaje wreszcie, że na przedstawieniu dramatycznem w języku polskim miał sposobność ocenić „dzielne talenta tutejszych artystów.“ Było to w istocie bardzo ciekawe przedstawienie. W pannie Popiel „budziło się serce“ z takim wdziękiem, jakiego żadna inna artystka naszej sceny nie posiada. Żółkowski stękał i narzekał w „Consilium facultatis“ z taką prawdą i humorem, że teatr trząsł się od śmiechu. Królikowski jako Franciszek Moor wzruszał i przejmował do głębi, a p. Leszczyński jako Karol ogniście szafował pięknym swym głosem; — wreszcie p. Tatarkiewicz i panna Deryng w rolach Romea i Julii stanęli na wysokości zadania. Dziwnem nam się tylko wydało, że podczas gdy Modrzejewskiej zarzucano w roli Julii za małą dozę namiętności, panna Deryng wbrew swemu przyrodzonemu talentowi pojęła ją także raczej sentymentalnie niż namiętnie - nie mniej jednak grała tak, że talentowi swemu ujmy nie przyniosła. P. Tatarkiewicz zaś nie skąpił serdecznego i ujmującego serca zapału. Jaka szkoda, że nie ujrzeliśmy jeszcze pana Rapackiego, który mógł był wystąpić razem z panną Popiel np. w komedyjce „Broń niewieścia.“ Oboje grają w niej koncertowo; ta mała farsa Benedixa staje się w ich rolach arcydziełem. Bądź co bądź Rossi zobaczył większą część pierwszorzędnych naszych talentów i musiał przyznać, że jak na te ciężkie czasy sztuka nasza nieźle prosperuje. Gdyby zaś ilość mogła zastąpić całkowicie jakość — to w tej chwili Warszawa zaimponowałaby nie jednej pierwszorzędnej stolicy. Mamy bowiem współcześnie

nie mniej jak *trzynaście teatrów* większych i mniejszych, a niektóre z tych ostatnich jak np. p. Doroszyńskiego w *Belle-Vue* (nowy ogródek przy ulicy Chmielnej), p. Trapszy w *Arkadyi* (także nowy teatrzyk przy ulicy Królewskiej) i p. Texla w *Eldorado* nie wiele ustępują rządowym teatrom i pod względem kompletu artystów i co do zewnętrznej wystawy. Co więcej, pod względem ruchliwości i śmiałości reżyserskiej zawstydzają większe sceny. Dają coraz to nowe sztuki oryginalne, porywając się nawet na wielkie opery. Tak np. towarzystwo p. Trapszy wcale znośnie przedstawia Halkę — operetki zaś w Eldorado wychodzą nieraz lepiej niż na wielkiej scenie. „Emigracya Chłopska" Anczyca, która podobno u was przyjęta była dość chłodno, tu ciągle jeszcze robi furorę. W zeszłym roku jeden teatrzyk w *Tivoli* dawał ją 23 razy z rzędu przy pełnym ogrodzie. Nic dziwnego! Wyrazy miłości rodzinnej dla was za słabe, dla nas są balsamem pociechy.

Teatr wielki wystawi wkrótce „Aidę" i „Fra-Diavolo."

---

W wielu naszych pismach znalazłem życzliwe wzmianki o założonem we Lwowie towarzystwie polsko-żydowskiem. I u nas było ono pobudką do wystąpienia tygodnika „Izraelity" w sprawie na pozór drobnej, a jednak ważnej. Chodzi mianowicie o to, ażeby izraelici zaprzestali używać zastarzałych i dziko dziś brzmiących *imion* żydowskich i zmieniali je na polskie. W kołach inteligentniejszych już ten zwyczaj wszedł w życie, rozpowszechnieniu się jego stoi jednak na przeszkodzie fakt, że dotychczas imion tych nie dopuszczają rabini do metryk; lecz ponieważ w aktach sądowych już bywają używane, jest więc nadzieja, że niezadługo i w metrykach znajdą prawo obywatelstwa. A w każdym razie będzie to jeden ze środków usunięcia dotychczasowego rozdziału.

---

Jak dalece Moskale spokojni są o obecny stan Kongresówki, świadczy między innemi ta okoliczność, że zniesiono dawniejsze utrudnienia paszportowe dla przyjeżdżających do Warszawy. Pierwej nawet w czasie kilkodniowego pobytu paszport musiał pozostawać w cyrkule, obecnie zaś wydają go natychmiast po zameldowaniu. Tylko zagraniczne paszporta zatrzymywane bywają w biurze ober-policmajstra.

## BIBLIOGRAFIA

### polska.

— *Orzeszkowa Eliza.* Pompalińscy, powieść. 16ka str. 720. Warszawa 1876 2·—

— *Prokop.* Czuwajcie a módlcie się. 16ka str. 224. Warszawa 1877. 1·—

— *Ribot T.* Współczesna psychologia pozytywna w Anglii. Przełożył z francuskiego i opracował Julian Ochorowicz. 8ka str. 230. Warszawa 1877. 2·—

Zawiera: Od tłumacza. Wstęp. Poprzednicy tegoczesnych psychologów w Anglii: Locke, Hartley, Hume, Brown, Priestley, James Mill. Współcześni psychologowie pozytywni: John Stuart Mill. O metodzie w psychologii. Psychologia. Teorya psychologiczna materyi i ducha. Herbert Spencer. Aleksander Bain. Jerzy Lewes. Samuel Bailey. Zakończenie.

— *Rzewuski Henryk.* Zaporożce, powieść 4 tomy w jednym, Wydanie nowe. 8ka str 359. Warszawa 1877. 2·50.

— *Simon Juliusz.* Obowiązek. Przełożył z 11 wydania francuskiego Kazimierz Kaszewski. 8ka str. 252. Warszawa 1877. 2·—

Zawiera: Wiadomość o Autorze. Przedmowa. Wolna wola. Uczucie. Pojęcie. Czyn. (Uzasadnienie wolnej woli). Rozbiór zarzutów głównych przeciw wolnej woli. Nawyk. Początek i klasyfikacya uczni. Miłość siebie. Miłość dobrobytu. Miłość rozwoju bytu. Miłość rodziny. Miłość ojczyzny. Miłość ludzkości. Miłość Boga. Stan duszy rządzonej namiętnościami. Pojęcie sprawiedliwości. Istota sprawiedliwości. Formuła sprawiedliwości. Podział obowiązków i właściwy przedmiot sądu sumienia. Powinność szanowania prawa w samym sobie. Powinność szanowania prawa w drugich. Prawo Boga nad stworzeniem i obowiązki jakie ztąd wynikają dla człowieka. Życie szczęśliwe.

## Wiadomości z kraju i ze świata.

### Literatura i sztuka.

— O znakomitym naszym malarzu Janie Matejce autor listów wiedeńskich w „Augsburger allg. Zeitung" pisze: W wiedeńskim „Künstlerhausie" historya reprezentowaną jest nie wielu, lecz za to znakomitemi obrazami Jana Matejki, Canona, Makarta i Hubera. Mistrz krakowski najlepiej ze wszystkich wywiązał się ze swego zadania. Obraz jego przedstawia Wacława Wilczka, który w r. 1468 był naczelnym wodzem Jerzego Podiebrada w wyprawie do niższej Austryi. Wojownika tego przedstawił Matejko jakoby cząstkę wcielonej historyi, jako postać charakterystyczną, pełną dramatycznego życia, a oddającą równocześnie wiernie rzeczywistą postać tego bohatera. Pod względem kolorytu należy obraz ten do najlepszych Matejki.

— Ernest Legouvé, członek Akademii paryzkiej, napisał nową sztukę w 4 aktach „La Séparation." Panna Delaforte ciesząca się wyjątkową protekcyą i uznaniem Legouvego ma przedstawić w tych dniach główną rolę w tej sztuce na deskach teatru w Fontainebleau.

— Jedno z pism poznańskich uprasza autora dramatu „Nad Bugiem" nadesłanego na konkurs poznański o podanie swego adresu. Utwór ten, bowiem ma mieć niepospolitą wartość, i tylko z powodu niescenicznośsci odrzucony został przez komisyą konkursową.

### Odkrycia.

— Znany botanik i podróżnik Levi, odkrył w Nicaragua nową roślinę, z gatunku „phytolacca," którą nazwał „rośliną elektryczną." Zdarzyło się, że Levi spotkawszy nieznaną mu dotąd roślinę, chciał urwać gałązkę z niej, gdy w tem uczuł uderzenie w rękę. jak gdyby przytknął ją do maszyny elektrycznej. Zdumiony tem począł robić doświadczenia, przy pomocy igły magnesowej, którą naprzód umieścił w odległości 7 do 8 kroków, od krzaku rośliny. Natychmiast w igle okazały się drgania, wzrastające w miarę zbliżania jej do rośliny, a skoro Levi zawiesił pudełko z igłą na samym krzaku, drganie jej przybrało nadzwyczajną szybkość. Zrobiwszy analizę okolicznego gruntu, Levi nie znalazł w nim ani żelaza, ani tytanu, ani niklu; oczywiście więc przyczyną wahania się igły magnesowej, była sama roślina W nocy siła wahania zmniejszała się znacznie — maximum takowego przypadało na godz. 2gą po południu. W czasie burzy zwiększało się także — gdy deszcz padał, roślina więdła. Levi nie spostrzegł nigdy, żeby na krzaku dziwnej tej rośliny, usiadł jaki ptak lub owad.

— Z Poznańskiego donoszą, że na polu należącem do wsi Warlubia, odkryto przy oraniu grób przedhistoryczny, a w nim dziesięć dobrze zachowanych urn, po większej części resztkami kości napełnionych. Obok każdej urny stało jeszcze naczynie mniejsze. Urny wyjęto ostrożnie z grobu, wyłożonego i zakrytego kamieniami polnemi, które to urny znajdują się u właściciela wsi p. Falcka.

### Wypadki.

— O powodziach na Węgrzech, mianowicie o wystąpieniu z łożyska z rzeki Maros pod Aradem podają dzienniki węgierskie następujące szczegóły: rzeka Maros zrządziła niesłychane spustoszenia, w ciągu jednej nocy wezbrawszy tak, że obydwa jej brzegi, nagle stanęły pod wodą. Popłoch pomiędzy mieszkańcami był ogromny, kto żył spieszył na brzeg, ażeby przyłożyć ręki do ocalenia miasta. Powódź była tak nagłą i gwałtowną, że w jednej chwili piwnice i wiele parterowych lokalności w mieście zostało zalanych. Komunikacya z całą okolicą przerwana. Woda ciągle jeszcze przybiera, niebezpieczeństwo ciągle wzrasta. Pomimo energicznego oporu ze strony organów kolejowych, ludność w kilku miejscach przebiła groble drogi żelaznej, by utworzyć dla wody ujście za miasto. W skutek tego przerwana jest komunikacya Aradu z Nowym Aradem. W Szegiedynie, gdzie niebezpieczeństwo powodzi było jeszcze groźniejsze, pracowano z gorączkowem wysileniem nad wzmocnieniem tam, zwłaszcza, że już woda zaczęła była przeciekać przez wał ochronny pod Rösske w długości 70 sążni. Rząd wysłał do Szegedynu inżynierów.

### Wynalazki.

— Przed paru tygodniami jedno z pism polskich doniosło o świeżym wynalazku, którym mają być czcionki przeznaczone do składania nut. Wiadomość tę powtórzyły inne, dodając od siebie komentarze i objaśnienia, że wynalazek ten usuwa stanowczo trudności napotykane w litografii, że każda nutka, linijka, znaczek, ma tu odpowiednią czcionkę itd., że wreszcie to wszystko dowodzi wielkiego w sztuce typograficznej postępu. Na to ostatnie niepodobna się niezgodzić, ale znowu niepodobna czcionek muzycznych uważać za wynalazek zupełnie świeży. Niemcy i Anglia zalane są już od lat kilkunastu nutami drukowanemi. Mało kto nie posiada u siebie edycyj Wolfenbüttelskiej, której stosy całe zalegają półki księgarskie, albo wydań angielskich Booseya. Są one prawie tak rozpowszechnione jak wydania Petersa. Jako objaśnienie możemy dodać, że do tej pory przynajmniej, wydania drukowane były po największej części mniej czytelne i mniej poprawne od litografowanych. Podobno jeden z wydawców warszawskich ma zamiar zająć się wydawnictwem nut drukowanych.

### Medycyna domowa.

— W obecnej porze wiosennej, po przejściach nagłych pogody i niepogody, nic dziwnego, że febra zjawia się bardzo często. Z tego powodu przypominamy o środku tanim a wypróbowanym, tak u nas jako też i zagranicą przez takich lekarzy jak profesor Piorry i dr. Broches — nadto stanowiącym środek ludowy w Węgrzech i południowej Ameryce. Środkiem tym jest „zwyczajna sól kuchenna," wyprażona w czystem naczyniu, do nabrania koloru lekko brunatnego, jaki miewa kawa niedopalona. Używa się po ukończeniu napadu febrycznego co najmniej w dwie godziny, następnie cztery razy dziennie dotąd, dopóki nie minie kilka dni, w których paroksyzm miał się zjawić. Doza dla dorosłego — pełna łyżka stołowa z wodą lub rumiankiem. Dla dzieci po pół łyżki. Środek ten tem ważniejsze ma zastosowanie, przy wielkiem podrożeniu chininy w tych czasach. Zasługa zaś soli kuchennej jest nie tylko ta, że używana jest jako lekarstwo przeciwfebryczne, ale nawet połknięta w stanie sproszkowanym, w ilości pół łyżki, w razach poczucia, iż nadchodzi paroksyzm padaczki, wielkiej choroby, czyli epilepsyi i takową zdolna jest powstrzymać.

### Towarzystwa naukowe.

— Dnia 16go maja rb. odbyło się w Poznaniu posiedzenie wydziału historycznego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Przedstawiony został rękopism „Grammatyki języka cygańskiego." nadesłany przez autora, p. Kalinę z Petersburga. Pracę tę ma ocenić komisya, złożona z trzech członków, i następnie, jeśli to dzieło zyska ich uznanie, oddane będzie do druku. Innej komisyi polecono rozpatrzenie „Pamiętników Wierzbickiego o legionach włoskich." Odczytano także rozprawę dra Warnki pod tyt.: „Przebicie przesmyku amerykańskiego," zawierającą bardzo ciekawe i nauczające wiadomości o Ameryce Środkowej i o projektach dotyczących tego przedsięwzięcia.

### Stowarzyszenia.

— W Królewcu ma się zawiązać Klub polski. Wybrano już w tym celu komitet prowizoryczny składający się z pp. Jarosława Frankiego kupca i akademików Juliusza Ossowskiego i Maksymiliana Andryssona celem ułożenia statutów.

### Konkursy.

— W skutek ogłoszenia konkursu na rysunek medalu, którym komitet wystawy krajowej ma zamiar odznaczyć wystawców celniejszych okazów, z dniem 7go marca r. b. nadesłano temuż komitetowi trzynaście projektów, z których dwanaście w formie rysunków, a jeden w formie płaskorzeźby gipsowej. Ocenienie nadesłanych projektów poruczył komitet komisyi, złożonej z pp. Ottona Hausnera, Henryka Rodakowskiego i Juliana Zachariewicza, która uznała za względnie najlepszy projekt opatrzony znakiem (?) a na drugiem miejscu postawiła płaskorzeźbę gipsową. Zgodnie z wnioskami komisyi przyznał komitet wykonawczy na posiedzeniu z dnia 17 maja rb. pierwszą nagrodę w kwocie 50 zlr. w a. autorowi projektu opatrzonego znakiem (?) czyli jak się okazało po otworzeniu listu zapieczętowanego p. Karolowi Zarębie, architektowi z Krakowa; drugą nagrodę w kwocie 45 zł. w. a. autorowi płaskorzeźby, czyli jak się okazało po otworzeniu listu zapieczętowanego, p. Klemensowi Feliksowi Mikulskiemu, artyście rzeźbiarzowi ze Lwowa.

# ROZMAITOŚCI.

— Spostrzeżenia lekarskie wykazały, iż są osoby niezdolne rozróżniać wszystkich kolorów istniejących w naturze. Wada ta, która szczególniej u osób służących przy drogach żelaznych, nie dozwala im rozpoznawać sygnałów, a wskutek tego może stać się przyczyną groźnych wypadków, zwróciła już dawniej uwagę przedstawicieli dróg żelaznych, a obecnie rosyjskie Ministerstwo komunikacyi, postanowiło wydać następujące rozporządzenie, (mające być wprowadzone w jak najkrótszym czasie) Wszystkie osoby tak zostające na służbie przy drogach żelaznych jak i kandydatów na takowe poddać badaniom co do zdolności w rozpoznawaniu kolorów i powtarzać to przynajmniej raz na rok. Osoby używające napojów gorących lub tytuniu 4 razy do roku egzaminować. Osób nie rozpoznających z łatwością koloru czerwonego lub zielonego wcale nie przyjmować do służby. Lekarze urzędujący przy drogach żelaznych obowiązani będą prowadzić odpowiednie listy i przedstawiać takowe ministerstwu. Rozporządzenie powyższe nie ma się stosować do osób służących w magazynach, kantorach i kancelaryach kolejowych.

— Sława, kapryśne dziecię, na kartach swych kronik zapisuje zarówno mężów zaszczyconych zasługą dla ludzkości, walecznych wojowników, znakomitych mistrzów sztuki, obok Herostratów, podpalaczy arcydzieł, zdrajców kraju itp. których imiona godziłoby się oddać zapomnieniu.

Do ostatnich należą sławni rozbójnicy, szczególniej włoscy. Synowie bowiem Italii w przygrzanej słońcem południowem wyobraźni, na równi ze świętymi i bohaterami dziejów, oddają cześć prostym rabusiom i nieraz jedna i ta sama lira głosi sławę wyswobodziciela ludu, walecznych rycerzy, mistrzów pędzla i dłuta, sławę poety, obok dzieł i czynów jakiegoś rzezimieszka. W dawniejszych czasach wsławiają się tam Massary, Rinaldy, Paolowie; na początku zaś tego wieku Fra-Diavolo, zuchwały bandyta, który niemal na swoją rękę wojnę Napoleonowi I wypowiedział; żyje on dotąd nietylko w pamięci i ubóstwieniu ludu włoskiego, lecz nawet i w historyi. Bowiem tomy jego życiorysów i legend opisano, udramatyzowano w dziełach scenicznych i epopejach, a nadto sławny Auber operą imię jego unieśmiertelnił.

Być może iż, żaden z koleżków Fra-Diavola, a rzetelnie mówiąc kandydatów do szubienicy, nie żył tak długo w pamięci przeszłych pokoleń i jego następcy w rozbójnictwie, acz zręczni pomiędzy nimi bywali, sławy tej nie zatarli. Niedość bowiem literatury, ale sama moda do upamiętnienia jej niemało się przyczyniła, w pierwszej bowiem ćwierci tego wieku dawały się widzieć jeszcze kapelusze, płaszcze i łańcuszki u mężczyzn, kryzki i parasolki u dam à la Fra-Diavolo.

Obecnie pewien pisarz francuski d'Escolaux (A travers mes manuscrits) podaje ciekawy epizod z wojen neapolitańskich (1806). Autor, jakby wnosić można, świadek wypadków naoczny, opowiada o niewoli u Fra Diavola dwóch sióstr, a żon wyższych oficerów armii Napoleona I, zapewniając przytem, iż to co przytacza jest faktem prawdziwym, i że nawet imion działających nie zmienił.

---

Pułkownik Clavel i kapitan Snell z pierwszego pułku szwajcarskiego w armii francuskiej, poślubili w Bernie dwie siostry Schwich, córki głównego inspektora tejże armii, syn zaś jego kolegował w jednej kompanii z obydwoma szwagrami. Obie siostry w jednym dniu stawały na ślubnym kobiercu i w parę dni później z małżonkami swoimi udały się do głównej kwatery w Neapolu. Niedługo pozostając na miejscu, młode mężatki zaczęły podzielać życie obozowe i niebezpieczne swoich małżonków, których kompanie były przeznaczone do ścigania partyzantów i bandytów.

Pułkownikowa i ich siostra w pochodzie były otoczone czcią i opieką całego pułku, a dzieciątko pani Clavel, które prawie w marszu światło dzienne ujrzało, stało się bożyszczem żołnierzy.

Marya Snell, silniejszej natury i energiczniejszego charakteru, od początku wyprawy łatwiej się zrosła z trudami i niewczasami pochodu, które jej siostra przenosiła mniej czynnie, jednak ze spokojem i rezygnacyą. Ileż to przebyły trudów i niepokojów, ile marszów forsownych bez wypoczynku, bo zaledwie ten się im uśmiechał, gdy nowa trwoga wyśledzonego nieprzyjaciela, do nowych zniewalała trudów. Na wszelkie braki, niewygody i niedostatek już nie zwracali uwagi w kraju, o którym Courrier powiada: „Zaspokoisz tu każde zbytkowne wymaganie, wszakże pierwszych potrzeb życia nie znajdziesz; na każdym kroku napotkasz w obfitości ananasy, pomarańcze, kwiaty z najpyszniejszą wonią, lecz o chleb i wodę nie pytaj.“

Upłynęły im tak miesiące i lata, aż nadszedł rok 1806; położenie wojska coraz smutniejsze, znacznie się pogorszyło przez epidemię febry kalabryjskiej, której uległa Julia Clavel i mały jej synek August. Mężowie obydwóch sióstr uchwalili rozstanie z żonami, dalsze bowiem przebywanie niewiast w obozie, narażonym na tysiączne niewczasy i niewygody, stawało się niepodobieństwem. Oficerowie werbownicy udający się do Szwajcaryi, przyjęli kobiety pod swoją opiekę dla odwiezienia do domu matki.

Schronienie u rodziców lubo wygodne i bezpieczniejsze od obozowego życia, jednak napełniało trwogą obie siostry o los mężów. Marya Snell żywa, rozmiłowana w mężu, w rozdrażnionej wyobraźni, trapiła się złemi przeczuciami o losy rycerzów i stanowczo przedsięwzięła powrót do armii, a żadne rozsądne przełożenia nad jej postanowieniem zapanować nie zdołały. Cóż dopiero kiedy obie dowiedziały się z gazet, że pułkownik Clavel zabity a kapitan Snell ranny. Chociaż niezwłocznie list ich brata sprostował omyłkę, gdyż obaj małżonkowie byli tylko ranni i blizcy wyzdrowienia w lazarecie wojskowym w Neapolu, atoli nic nie zdołało zaspokoić obawy i trwogi niewiast. Obie energiczne, nawykłe do obozowej ruchliwości, nazajutrz już puściły się w podróż. Nie zaniechały przytem zaopatrzyć się w listy polecające do rozmaitych władz, jakie tylko po drodze napotkać można były i w tak niezbędne pieniądze, których już we wszystkich kasach tak francuskich jako i włoskich braknąć zaczynało; całe ich mienie w złocie i papierach kredytowych ukrywało się w gęstych i bujnych warkoczach Julii Clavel; dziecko jej miało im służyć niejako za tarczę przeciw rozpuście żołnierskiej.

Do Belanzony podróż im się wiodła niezgorzej, wszędzie szczęśliwie na czas rozejmu natrafiały. Ożywione odwagą i wytrwaniem, spiesznie naprzód się posuwały. Julia przez swoję rozwagę, przytomność umysłu i zimną krew, umiała zwalczyć wszelkie trudności i przeszkody, lecz nakoniec natrafiły na liczne posterunki i garnizony, które im podróż znacznie utrudniły. Oficerowie, komendanci czasowi, a formaliści, lubo uprzejmie przyjmowali podróżne, lecz tu trzeba było oczekiwać na konwój, indziej na jaki taki środek przejazdu, gdyż muły, konie i wozy, były chwytane jako rekwizyta wojenne. Pomimo przeszkód dotarły do Terracinium i już od celu podróży oddzielała ich mała tylko przestrzeń, wszakże do przebycia najtrudniejsza.

Terracinium było w tej chwili punktem pośrednim, dokoła którego odbywały się gonitwy pomiędzy wojskiem francuzkiem a bandytami. Jedni drugich rugowali z pozycyi, a każdy swoją koleją rabował i uciskał kontrybucyą biednych mieszkańców. Dla tego i miasto było puste, bo kto mógł umykał. Młode podróżne po przybyciu tam, rozkwaterowały się u dostawcy armii francuskiej, który sam jeden w tem mieście naówczas władzę najwyższą wojskową reprezentował. Był to dobry znajomy ich mężów, a na widok zuchwałych wędrownic, chwycił się za głowę, wołając:

— Co też panie najlepszego robią, już ztąd dalej ruszyć się nie można. Nie ma żywej duszy ludzkiej dla eskorty, ani nogi zwierzęcej do przejazdu. Wpadłyście panie w jaskinię rozboju, wszystką żywność zrabował Fra-Diavolo, ludzie porozbiegali się. Musicie czekać tu na nasz oddział, którego prawdopodobnie za parę dni spodziewam się.

Poczciwy dostawca jak mógł pocieszał biedne podróżne upadające na duchu, a rade nie rade do zwłoki zmuszone. Wtem gdy usiedli do obiadu z zacnym gospodarzem, gwałt się wielki podniósł w mieście i krzyki trwogi:

— Fra-Diavolo! Fra-Diavolo!

Dwaj słudzy wpadając nagle do pokoju wołali:

— Kto żyw uciekaj, Fra-Diavolo!

Jakoż nie namyślając się długo, dostawca ze sługami, nim się kobiety opamiętać zdołały, przez okno wskoczyli do gęstego ogrodu.

Tuż za nimi przezedrzwi weszło kilku ludzi uzbrojonych, a przodujący im skłoniwszy się uprzejmie wylęknionym niewiastom, rzekł:

— Mam zaszczyt przemawiać do pań Clavel i Snell, a więc służę paniom, idziemy.

Po tych słowach dał znak swoim ludziom, którzy otoczywszy je, wyprowadzili z domu i z miasta.

Okropny był pochód biednych jeńców przez krzaki, zarośla i wąwozy; ich cienkie odzienia zdarły się na szmaty, a lekkie trzewiki z nóg pospadały. Natenczas dwóch młodych ludzi ofiarowało im grube swoje obuwie — i tak dalej drogę odbywano. Jedyną pociechą było to, że mały August niesiony był starannie przez jednego z bandytów i w ogóle wszelkie im tam poszanowanie okazywano, W gąszczy lasu stanęli na odpoczynek i kiedy z wszelką grzecznością posiłek przyzwoity im udzielono podtenczas dowódca na uboczu odbywał jakby radę wojenną, poczem przystąpił do pani Clavel i tak pochwycenie ich usprawiedliwiał:

— Przed kilku dniami, Jacopo, mój sekretarz i faworyt, pojmany przez wojsko, został uprowadzony do Neapolu, tam zapewny będzie badany i być bardzo może powieszony. Otóż, ażeby temu zapobiedz, dowiedziawszy się o podróży pań, umyśliłem dostać je jako zakładniczki bo inaczej samo przez się nie przedsiębrałbym napadu na opustoszone Terracinium, gdzie nic do zdobycia nie ma. Otóż — dodał zwracając się do Julii — pani raczysz się niezwłocznie udać do Neapolu i łaskę dla mojego sekretarza wyjednać, jeżeli jeszcze mój biedny Jacopo żyje. Siostra zaś pani z jej dzieckiem na zakład u mnie pozostanie.

— A jeżeli Jacopo umarł? — wtrąciła nagle Julia.

— Natenczas!... natenczas!... — zawołał zapieniony gniewnie bandyta; lecz w jednej chwili zapanowawszy nad sobą, dodał z łagodnością: — Ale nie traćmy czasu, niech się pani puszcza w drogę.

— Nie rozłączymy się, pojedziemy lub zostaniemy, ale wszyscy razem.

— Ja gotowa jestem pojechać — odezwała się Marya.

— Nie, tu głównie o panią Clavel chodzi — odparł Fra-Diavolo.

— Ja nie pojadę sama — odrzekła stanowczo Julia.

Tymczasem podjazdy znać dały, że mundury wojskowe ukazują się na drodze. Natychmiast obóz spoczynkowy zwinięto i wspinając się po skałach lasem porosłych, banda dotarła do ruin spalonego klasztoru, którego położenie na wyższym punkcie dominującym nad okolicą, stanowiło przytułek i niejako twierdzę dla Fra-Diavola i jego bandy.

(Dok. nast.)

## Od Redakcyi.

**P. Śm. w Krakowie.** Przedmiot zajmujący ale musielibyśmy mieć rękopism w ręku.

**P. S. T.** Sonety nie będą drukowane. Dawniejszych rękopismów nie mamy. Talent jest ale brak jeszcze wyrobienia.

**P. B. R. w Krakowie.** Poezye drukowane nie będą. Utworów dramatycznych nie zamieszczamy.

### Treść Nr. 40.



Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego). Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskowicki.